OSTATNI
MOHIKAN

OSTATNI
MOHIKAN.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z ROKU 1757.

JAKÓBA FENIMORA KUPERA.

TŁUMACZONA

PRZEZ

FELIXA WROTNOWSKIEGO.

TOM TRZECI.

WILNO.

W DRUKARNI B. NEUMANA.

1830.

Dozwala się drukować, z tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1830 roku d. 12. Marca.

Cenzor Leon Borowski.

OSTATNI MOHIKAN.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

„Nazwij mię sobie, jak ci podobać się będzie,
Zabójcą, czy mordercą; miej tylko na względzie,
Że nie dla własnej zemsty szukam tu ofiary,
Lecz słucham praw honoru. —"

Szekspir.

Barbarzyńskie i krwawe widowisko, ledwo w słabych rysach przy końcu tomu poprzedzającego wystawione, nosi w rocznikach osad aż nadto zasłużony tytuł rzezi William Henryka. Nieco dawniej już, wypadek podobny skaził imie jenerała francuzkiego; chwalebna śmierć jego nie zdołała zatrzeć tej plamy, czas ją tylko przykrył zapomnieniem. Chociaż Montkalm poniósł zgon bohaterski na równi-

nach Abrahama; trwa jednak zdanie, że mu brakowało tej mocy ducha, bez której nie masz wielkości prawdziwej. Możnaby tu okazać, że szlachetność, ukształcenie i waleczność rycerska, nie są główmnemi przymiotami w człowieku piastującym wielką polityczną władzę. Ale historya podobnie jak miłość, lubi wieńczyć bohaterów swoich blaskiem urojonym: potomność będzie zapewne uważała Ludwika de Sę-Weran za mężnego obrońcę kraju, a zapomni o jego nieczułości okrótnéj nad brzegami Oswego i Horykanu. Z żalem, że ten przedmiot przechodzi nasze przywileje, wrócimy do granic jakich trzymać się powińniśmy.

Ku schyłkowi trzeciego dnia od podania się twierdzy, musi jeszcze raz czytelnik towarzyszyć nam w okolice świętego jeziora. Opuściliśmy te miejsca pełne okropności i wrzawy; teraz milczenie w nich panujące, prawdziwie możnaby na-

zwać milczeniem śmierci. Zwycięzcy odeszli zburzywszy nawet szańce własnego obozu. Kilka tylko szałasów żołnierskich ukazywało jego stanowisko; wnętrze twierdzy oddano na pastwę płomieniom, wały wysadzono na powietrze; armaty jedne uwieziono, drugie zagwoździono lub wyłamano z ławet. Słowem, nieład i zniszczenie przedstawiały się wszędy; oko nic postrzegać nie mogło, prócz zwalisk dymiących się jeszcze i nieco dalej wielu set niepogrzebionych trupów, między którymi było już kilka napoczętych od zwierząt i ptaków drapieżnych.

Sama nawet pora roku, zdawała się równie zmienioną zupełnie. Grube obłoki przejmowały ciepło i światło słoneczne; mgły, co niegdyś wznosząc się nad góry ulatywały ku północy, teraz całą wściekłością uraganu odparte na południe, rozwlekły całun posępny i przyniosły prawie listopadowe zimno. Nie widać już było na

Horykanie mnóstwa żeglujących łódek; fale tylko biły gwałtownie o brzeg południowy, jak gdyby chciały piaskom wyrzucić brudne swe piany. Przezroczystość wody atoli, mogła bydź jeszcze godna podziwienia, chociaż nieodbijało się w niej nic więcej, prócz szarej chmury pokrywającej całe niebo. Z cichém i mglistém powietrzem znikł ten wdzięk szczególny, co przed kilku dniami łagodził widok nieuprawnych i dzikich okolic, a wiatr północny szumnie dmący wzdłuż plosy jeziora, nie przynosił ni dla oka, ni dla wyobraźni żadnego przedmiotu zdolnego zająć je na chwilę.

Wichry wysmaliły trawę, jak gdyby płomień przebiegł równinę. Tylko gdzie nie gdzie wznosiła się kępa zielona, zapowiadając niby przyszłą żyzność ziemi, świeżo napojonej krwią ludzką. Całe to ustronie tak wdzięczne pod pięknem niebem i w przyjemnej porze, teraz wysta-

wiało niejakoś alegoryczny obraz życia, na którym rażących kolorów żaden cień nie łagodził.

Lecz ten akwilon burzliwy, co ledwo pozwalał dostrzegać resztki zieloności uszłe z pod jego zamieci, nie przeszkadzał bynajmniej widzieć prawie w około równiny, ogromnych mas skał nagich; a oko próżnoby szukało milszego widoku na niebie, gdzie zamiast świetnego błękitu, pędem leciały mgły ciemne.

Wiatr jednak dął nierównie: raz puszczał się po za ziemi z przytłumionym jękiem, jakby przemawiając cóś do zimnego ucha śmierci; drugi raz z hukiem wynosił się w powietrzne krainy, wpadał na drzewa, kruszył gałęzie i zerwane liście sypał przed sobą. W całej pustyni nie widać było - żywego stworzenia prócz stada kruków, które długi czas walcząc przeciw gwałtowności burzy, przepłynęły nakoniec

zielonawy ocean lasów i spuściły się na pole rzezi, szukać obmierzłej pastwy.

Jedném słowem, wszystko stawiło widok zniszczenia. Możnaby było powiedzieć, że śmierć zakreśliła tu okręg fatalny i uderzała każdego kto śmiał go przestąpić. Po trzech dniach wszakże ustał ten zakaz i pierwszy raz od czasu, kiedy i ci którzy dopełnili, i ci którzy pozwolili dopełnić krwawy czyn morderstwa, oddalili się z tego miejsca, kilku ludzi żyjących przedsięwzięło zbliżyć się do straszliwego widowiska.

Pod wieczor wspomnionego dnia, godzina przed zachodem słońca, pięciu mężczyzn wyszedłszy z manowca wiodącego nad Hudson, zaczęło postępować ku zwaliskom twierdzy. Kroki ich z razu były powolne i ostróżne, jak gdyby czuli wstręt zbliżyć się do śladów rzezi skończonej, lub lękali się ujrzeć widoku nowej. Hoży i lekki młodzieniec z bystrą czujnością dzi-

kiego krajowca przodkując innym, wstępował na każde wzgórze skąd mógł przeglądać okolice i znakami wskazywał towarzyszóm, podług swego mniemania najprzyzwoitszą drogę. Ci jednak nie mniéj przeto mieli się na baczności. Jeden z nich, Indyanin także, szedł nieco dalej bokiem i wzrok nawykły poznawać najmniejszy ślad niebezpieczeństwa, bezprzestanku wodził po za brzegu puszczy. Trzej inni, byli biali, w odzieży takiego gatunku i koloru, jakie najlepiej odpowiadały ich śmiałemu przedsięwzięciu posuwania się za liczném i nieprzyjaźném wojskiem.

Okropne widoki co krok przedstawujące się wędrowcóm, sprawiały na każdym z nich odmienne wrażenie. Ten co szedł naprzód, był jeszcze tak młody, że ilekroć w lekkim biegu przez równinę spotykał pokaleczone ofiary, nie mógł oprzeć się sile przyrodzonego uczucia, i lękając się wydać mimowolnego wzruszenia, rzucał

na nie wzrok ukradkiem. Lecz starszy Indyanin niedostępny tej słabości, krokiem śmiałym i pewnym przechodził między gromadami trupów, z twarzą tak spokojną, iż łatwo dawało się widzieć, że mu nie nowina była patrzeć na podobne obrazy.

Uczucia białych także, aczkolwiek wszystkich trzech równie bolesne, w różnych piętnowały się cechach. Piérwszy z nich, chociaż jego postawa marsowa, włos wiekiem zbielony i marszczki na wyniosłém czole, świadczyły że był oswojony od dawna z okropnemi następstwami wojny; nie wstydził się jęczeć głośno, skoro jaki ślad nadzwyczajnego okrócieństwa uderzył go w oczy. Młody jego towarzysz wzdrygał się przejęty zgrozą, lecz żeby tém mocniej nie rozdrażniać czułości w starcu, usiłował uśmierzać siebie. Trzeci tylko, jakby straż tylna idący za nimi, swobodnie i bez wszelkiego względu oddawał się swoim wzruszeniom. Żaden rys nie zmienił się na je-

go twarzy; suchym okiem poglądał on na widok najbardziej oburzający, lecz przez złorzeczenia i przeklęctwa wynurzał swój zapęd gniewu.

W liczbie tych pięciu przechodniów, czytelnik poznał już zapewne dwóch Mohikanów, ich białego przyjaciela strzelca, półkownika Munra i majora Hejwarda. Nieszczęśliwy ojciec z młodzieńcem tak mocno przywiązanym do całej jego rodziny i z trzema ludźmi, którzy tak wielkie dali dowody wierności i odwagi w zdarzeniach wyżej opisanych przez nas, szedł szukać swych córek.

Unkas przebiegłszy prawie połowę drogi od lasu do zwalisk William Henryka, wydał krzyk głośny i wnet towarzysze pospieszyli do niego na miejsce, gdzie cuchnące już ciała pomordowanych kobiet, leżały gromadnie. Jakkolwiek przykra była to czynność, Munro i Dunkan mieli odwagę przejrzeć te wszystkie mniej więcej poka-

leczone trupy, żeby się zapewnić, czy nie było między niemi Kory i Aliny. Ojciec i kochanek uczuli nareszcie trochę ulgi, kiedy nie tylko nieznaleźli drogich osób szukanych z taką obawą znalezienia ich tutaj, ale nawet wśrzód resztek odzieży pozostałych od łupieztwa dzikich, niepostrzegli żadnej cząstki ich ubioru.

Nie mniej jednak przeto skazani na męczarnie prawie tak srogiej wątpliwości jak najokrótniejsza pewność, stali jeszcze w milczeniu nad przerażającą gromadą trupów, kiedy strzelec pierwszy raz od wyjścia w drogę, przemówił do swych towarzyszów.

— Nie jedno widziałem ja pole bitwy,— rzecze z twarzą zapaloną gniewem, — nie jeden raz śladem krwi szedłem mil kilkanaście; ale nigdy i nigdzie nie widziałem ręki szatańskiej wypiętnowanej tak wyraźnie jak tutaj! Zemsta jest uczuciem szczególnie Indyanóm właściwém; ale chociaż wszyscy co mię znają, wiedzą że ani kro-

pli krwi indyjskiej nie mam w mych żyłach, muszę jednak powiedzieć teraz w obliczu nieba i Stwórcy panującego i nad tą pustynią, że bylеby który z tych łotrów Francuzów, co dopuścili takiej rzeczi, ukazał się mnie w mecie, o to ta strzelba niezaniedba spełnić swojej powinności, póki tylko skałka będzie dawać ognia a iskra proch zapalać. Niech sobie noża i tomahawku używają ci, którzy z natury mają zręczność do nich. Cóż mówisz, Szyngaszguku,— dodał po delawarsku,— ci Huronowie czerwoni, czy będą przed swoimi skwawami chełpili się z tego dzieła, podczas wielkich śniegów?

Błyskawica gniewu mignęła na twarzy Mohikana: wyciągnął nóż swój do połowy z pochew, lecz wnet odwróciwszy oczy przybrał znowu taką spokojność, jak gdyby nic go nie obchodziło.

— Montkalmie! Montkalmie! — mówił dalej zawzięty strzelec głosem pełnym mo-

cy; — przyjdzie czas, powiadają księża, kiedy wszystko cośmy uczynili w ciele, odkryje się jednym razem przed oczyma wolnemi już od wszelkiej słabości ludzkiej. Biada temu kto się urodził po to, żeby zdać w ów czas rachunek z tego, co działo się na tej równinie! Ach! Jakem człowiek krwi niezmięszanej, wszakto między trupami jeden czerwony z odartą głową! Zobacz Szyngaszguku, czy nie który z tych co brakną tobie; jeżeli tak, trzeba mu sprawić pogrzeb jako walecznemu wojownikowi. Widzę z twoich oczu Sagamorze, widzę, że którykolwiek Huron odpłaci tobie życiem za życie, wprzód nim zapach krwi zwietrzeje.

Mohikan zbliżył się do skażonego trupa, przewrócił go piersiami do góry i po godle odróżniającym. sześć narodów sprzymierzonych poznawszy, że chociaż walczył pod chorągwiami Anglików, był śmiertelnym nieprzyjacielem jego pokolenia, trącił

go nogą i odszedł tak obojętnie jak od psa zdechłego. Strzelec bardzo dobrze zrozumiał co znaczyło to wszystko i znowu oddając się wzruszeniom własnego gniewu, zaczął wyrzekać przeciw jenerałowi francuzkiemu.

— Sama tylko — rzecze — nieskończona mądrość i moc bez granic, ma wolą tak jednym zamachem tylu ludzi zmiatać z powierzchni ziemi; bo sam Bóg tylko wie, kiedy uderzyć, a kiedy zatrzymać rękę. I któż prócz niego potrafi nagrodzić choć jedno stworzenie które pozbawia życia? Co do mnie, mam sobie nawet za szkrupuł ubić drugiego daniela póki pierwszego nie zjem, chyba że się wybieram w daleką drogę albo na długą zasadzkę. Na polu bitwy zaś, w obec nieprzyjaciela, to co innego! Tam każdy szuka śmierci ze strzelbą lub tomahawkiem w ręku, . podług tego, jak ma skórę białą lub czerwoną. Unkas, przejdź tędy, niech ten kruk

spuści się na Minga. Ja wiem z doświadczenia, że te ptaki szczególniej lubią mięso Onejdów; i pocóż im przeszkadzać?

— Hug! — zawołał młody Mohikan podnosząc się na palcach i wlepiając oczy w las będący przed nim, a wykrzyknik ten wyprawił kruka dalej pożywienia szukać.

— Cóż tam jest? — zapytał strzelec z cicha i garbiąc się jak pantera, kiedy ma rzucić się na zdobycz. — Czy nie który włoczęga Fracuz przychodzi tu obdzierać trupy, chociaż nie wiele zostawiono dla nich. Dałby to Bóg! spodziewam się że moja danielówka prościuteńko uderzyłaby teraz.

Unkas nic nieodpowiedział, tylko rączo jak jelonek poskoczył do lasu, ułamał gałązkę cierni i zdiąwszy z niej szmatek zielonej zasłony Kory, w tryumfie wzniosł go nad głowę. Powtórny wykrzyknik młodego Mohikana i ten urywek lekkiej tkani-

ny, sprowadziły do niego resztę towarzyszów.

— Moja córka! — zawołał Munro głosem przerywanym; — któż mi ją powróci?

— Unkas będzie starał się o to, — odpowiedział młody Indyanin równie skromnie jak z zapałem.

Obietnica ta i głos jakim wymówiona była, nieuczyniły żadnego wrażenia na nieszczęśliwym ojcu. Nie słysząc prawie słów Unkasa, chwycił cząstkę ubioru Kory i ściskając ją w drżącém ręku, wodził wzrok błędny po przyległych krzakach, jak gdyby spodziewał się że one wrócą mu córkę, albo lękał się ujrzeć między niemi skrwawionych zwłok jej tylko.

— Nie widać tu trupów, — rzecze Hejward przez bojaźń przytłumionym i jakby podziemnym głosem; — zdaje się że burza nie szła w tę stronę.

— To rzecz widoczna i jaśniejsza niż niebo teraz, — odezwał się Sokole Oko z nie-

zachwianą swoją krwią zimną; — ale niezawodnie albo ona sama przechodziła, albo ją niesiono tędy; bo pamiętam bardzo dobrze, że na jej twarzy, którąby każdy lubił widzieć odkrytą, była zasłona podobna do tej gazy. Słusznie mówisz, Unkas, — odpowiedział potém młodemu Indyaninowi na kilka słów jego przemówionych po delawarsku, — i ja tak myślę, ona sama musiała iść tędy. Uciekała gdzieś do lasu jak daniel przepłoszony; ależ bo i ktożby mając nogi czekał na miejscu żeby go zabito? Teraz szukajmy jej śladów; pewno znajdziemy; przecież musiała stąpać, a mnie się zdaje nie raz, że oczy Indyanina mogą nawet postrzedz znak w powietrzu, kędy koliber przeleciał.

— Niech cię niebo błogosławi zacny człowieku! — zawołał mocno wzruszony ojciec; — niech cię Bóg nagrodzi! Ale dokądże mogły one uciec! gdzie znajdziemy moje córki?

Tym czasem młody Mohikan czynnie już wypełniał zalecenie strzelca, i zaledwo Munro skończył pytanie, na które nie mógł spodziewać się pomyślnej odpowiedzi, nowy okrzyk radości dał się słyszeć niedaleko w lesie. Wszyscy pobiegli na to miejsce i Unkas pokazał im drugi kawałek tejże samej zasłony wiszący na gałęzi brzozy.

— Powoli! powoli! — rzecze Sokole Oko wyciągaiąc długi swój karabin, żeby wstrzymać Hejwarda; — nie potrzeba tak się zapalać: zbyteczny pośpiech łatwo zbije nas z drogi, a jeden krok nierozważny więcej godziny kłopotu przyczynić może. Jesteśmy teraz na tropie; to nic pewniejszego.

— Ależ w którą stronę za niemi iść mamy? — z niecierpliwością zapytał Hejward.

— W którą stronę iść za niemi, czyli raczej w którą one poszły, — odpowie-

dział strzelec, — to od wielu okoliczności zależy. Same jedne prędzejby szły krążąc niż prosto, i w takim razie moglibyśmy teraz tylko o mil dziesiątek znajdować się od nich; ale jeżeli poprowadzili je Huronowie albo inni dzicy sprzymierzeńcy Francuzów; tedy pewno już są blizko granic Kanady. I cóż stąd! — dodał postrzegłszy na twarzach półkownika i majora niespokojność i zmartwienie; — oto my trzej, dwaj Mohikanie i ja, mamy jeden koniec ich tropu, i chociażby o tysiąc mil musiemy dójsć drugiego. Nietak prędko, Unkas, nie tak prędko! jesteś niecierpliwy jak gdybyś się w osadach urodził. Pamiętaj że lekkie nogi niegłębokie zostawują ślady.

— Hug! — wykrzyknął Szyngaszguk zajęty oglądaniem rozchylonych krzaków, przez które jak gdyby kto torował sobie drogę do lasu, i podniosłszy głowę w górę a rękę wyciągnąwszy ku ziemi, przy-

brał postać i minę człowieka ukazuiącego gad obrzydliwy.

— Wyraźnie tu stąpiła noga ludzka! — zawołał Dunkan przypatruiąc się schylony. — Przechodzono brzegiem tej kałuży; nie można wątpić o tém. Aż nadto rzecz pewna, że one są w niewoli.

— Zawsze to lepiej dla nich, niż umrzeć z głodu błądząc po lesie, a my tém pewniejsi jesteśmy, że niestraciémy ich śladu, — spokojnie odpowiedział Sokole Oko. — Teraz gotów jestem stawić w zakład pięćdziesiąt skór bobrowych przeciw pięciudziesiąt skałek, że Mohikanie i ja, nim miesiąc upłynie znajdziemy łotrowskie wigwamy. Nachyl się, Unkas, i zobacz czy nie zrobisz co z tego mokkasina; bo to widocznie znak mokkasina, a nie trzewika.

Młody Mohikan ukląkł, z największą ostróżnością odgarnął kilka suchych liści będących mu na zawadzie, przypatrywał się śladowi tak pilnie, jak skępiec podej-

rzanej sztuce złota, i nakoniec powstał z miną pokazującą, że przestawał na wypadku swego badania.

— No cóż! — zapytał strzelec, — co ci tam ten ślad powiedział? Czy dowiedziałeś się czegokolwiek?

— Był tu Lis-Chytry.

— Znowu ten włoczęga przeklęty! Niepozbędziemy się go, jak widzę, aż póki danielówka moja nierozmówi się z nim po przyjacielsku.

Wiadomość ta zdała się Hejwardowi przepowiednią nowych nieszczęść; a chociaż gotów był uznać ją za prawdziwą, okazał powątpiewanie jednak, bo w tém znajdował ulgę.

— Może to jeszcze pomyłka jaka, — rzecze; — mokkasiny tak są podobne jedne do drugich.

— Mokkasiny podobne jedne do drugich! — zawołał Sokole Oko; — jest to właśnie to samo co powiedzieć, że wszyst-

kie nogi są podobne sobie; a przecież każdy wie, że są i długie i krótkie, i szerokie i wązkie; jedni mają kostkę u wielkiego palca bardziej, drudzy mniej wydatną; niektórzy stąpają palcami, a niektórzy piętami do środka. W mokkasinach nie mniej rozmaitości jak w książkach; chociaż ci co czytają książki, niekoniecznie znają się na mokkasinach. Wszystko to jest na to, aby było najlepiej, i aby każdy w tém celował, czém go przyrodzenie obdarzyło. Pozwól mi, Unkas; czy chodzi o książki, czy o mokkasiny, zawsze dwa zdania więcej znaczą niż jedno.

Nachylił się także, obejrzał ślad pilnie i wstał po kilku chwilach.

— Prawdę mówiłeś, Unkas,—rzecze;— jest to ten sam ślad który widywaliśmy tak często, polując na niego niedawno, i jak widzę łajdak nigdy nie zaniedba upić się, kiedy mu się okoliczność nadarzy. Z pomiędzy was Indyan, pijacy tylko po-

dnoszą nogę wysoko i stąpają mocno; bo też człowiek pjany, czy on czerwony czy biały, zawsze pewniejszej potrzebuje podpory. Zupełnie ta sama szerokość i długość. Obacz i ty Sagamorze; wszak nie raz mierzyłeś ślady tego gada, kiedyśmy ścigali go od skały Glenu aż do zrzódła zdrowia.

Dopiero Szyngaszguk ukląkł z kolei, lecz spójrzał tylko i wnet powstając wymówił poważnie chociaż z cudzoziemska, słowo Magua.

— Tak, — rzecze Sokole Oko, — jużto rzecz pewna; panienka z czarnemi włosami i Magua, przechodzili tędy.

— A Alina? — zapytał Hejward z drżeniem.

— Jeszcze nie postrzegliśmy żadnego jej śladu, — odpowiedział strzelec wodząc natężony wzrok po drzewach, krzakach i ziemi. — Ale co ja tam widzę? Unkas,

idź podaj mi to, co tam leży pod tym krząkiem cierniowym.

Unkas skoczył i wnet przyniosł znaleziony przedmiot, a strzelec pokazując go towarzyszóm z miną wzgardliwą rozśmiał się serdecznie.

—To cacko, dudka naszego śpiewaka! rzecze,—i on więc przechodził tędy: no, będziemyż mieli ślady któremiby i ksiądz tropić potrafił. Unkas, szukaj znaków trzewika tak szerokiego i długiego, w jakimby mogła mieścić się noga zdolna utrzymać sześć stop i dwa cale niedołężnego cielska. Teraz zaczynam mieć nadzieję, że może ten próżniak weźmie się do czego lepszego, bo już porzucił swoję gwizdałkę.

— Z tém wszystkiém, dotrzymuje on danego słowa,—rzecze Hejward, — i przynajmniey Kora i Alina mają jeszcze przyjaciela przy sobie.

— Tak jest, — rzecze Sokole Oko spuszczaiąc kolbę długiej swej ruszniey na

ziemię, a czoło opierając na końcu lufy, z miną widocznej wzgardy; — mają przyjaciela, który będzie im gwizdał wiele zechcą. Ale czy ubije on dla nich daniela na obiad? Czy po mchu na drzewach pozna kędy iść trzeba? Czy zdejmie Huronowi głowę w ich obronie? Jeżeli z tego wszystkiego nic dokazać nie może, każdy przedrzeźniacz którego zobaczą w lesie, tyle wart co on. No cóż, Unkas, nieznajdujesz nic podobnego do śladu takiej nogi?

— Oto zdaje się że człowiek tu stąpił, — rzecze Hejward z radością chwytając powód do zmienienia nieprzyjemnej dla niego rozmowy; ponieważ bardzo był wdzięczny Dawidowi, że nie opuścił siostr nieszczęśliwych: — jak sądzisz, czy nie ślad to przyjaciela naszego?

— Ostrózniej pan z témi liścmi, bo zatrzesz wszystko! — zawołał strzelec. — To! jestto ślad nogi, ale nogi czarnej ko-

sy; i tak mała to stopka na wzrost jej piękny: pięta śpiewaka zakryłaby ją całkiem.

— Gdzie? Pokażcie mnie ślad mojej córki! — zawołał Munro śpiesząc przez krzaki i klękając potém żeby mógł przypatrzyć się zblizka. Chociaż krok, co ten znak zostawił był nagły i lekki, dosyć wyraźnie jednak odpiętnowała się podeszwa trzewika. Zaćmiły się oczy starca kiedy nań patrzał, a gdy powstał, Dunkan ujrzał ślad córki skropiony łzami ojca, i w obawie aby boleść wzmagająca się co raz bardziej nie pozbawiła go sił do znoszenia tylu trudów, usiłując rozerwać jego uwagę przemówił do strzelca:

— Teraz ponieważ mamy już znaki niewątpliwe, nie traćmy daremnie czasu i ruszajmy dalej. W podobnych okolicznościach każda chwila nieszczęśliwym niewolnicom wiekiem wydawać się musi.

— Nie zawsze ten pies dochodzi daniela

który najrączéj goni, — odpowiedział Sokole Oko ciągle przypatrując się odkrytym znakom przechodu. — Wiemy że Huron włoczęga, nasz śpiewak, i czarna kosa przechodzili tędy; ale gdzież się podziała panienka, co ma światłe włosy i błękitne oczy? Chociaż szczuplejsza i mniej odważna od swojéj siostry; miło wszakże ją widzieć i przyjemnie jéj słuchać. Skąd to pochodzi, że nikt nie mówi o niéj? Czy ona nie ma tu przyjaciół?

— Mój Boże, gdzieżby ona nie miała przyjaciół! — zawołał Dunkan z zapałem. — Lecz po cóż to pytanie? Albož jéj nie szukamy? Co do mnie, póty nie przestanę jéj śledzić, póki nie znajdę.

— Jeżeli tak, — rzecze strzelec, — może nam wypadnie rozejść się w różne strony, bo dotąd pewna, że ona nie przechodziła tędy. Jakkolwiek chód jéj lekki, postrzeglibyśmy choć najmniejszy znaczek.

Hejward cofnął się o krok nazad i cały

jego zapał ustąpił miejsca najsmutniejszemu zwątpieniu. Strzelec pomyśliwszy chwilę, znowu zaczął mówić nie zważając zgoła na zmianę twarzy majora.

— Nie masz w lasach kobiety, któréjby noga mogła podobny ślad zostawić; jest on zatém czarnéj kosy, albo jéj siostry. Dwa znalezione szmatki pokazują, że pierwsza przechodziła tędy; ale gdzież są znaki przechodu drugiej? Cóż robić; idźmy śladem jaki mamy, a potém, jeżeli nieukaże się nowy, wrócièmy na równinę szukać innej drogi. Unkas, ruszaj naprzód i nie spuszczaj oka z liści suchych; ja będę uważał na krzaki. No, przyjaciele, dalej: już słońce zniża się nad góry.

— A ja? — zapytał Hejward — czy nie mogę mieć czynności jakiej?

— Pan? — rzecze strzelec śpiesząc już w ślad swoich przyjaciół czerwonych; — pan idź za nami i jeżeli zobaczysz znak jaki, strzeż się żebyś go nie zepsuł.

Ledwo upłynęło kilka minut, dwaj Indyanie zatrzymali się znowu nad jakimś śladem postrzeżonym na ziemi. Ojciec i syn rozmawiali głośno, to zwracając oczy na przedmiot żwawych ich rozprawiań, to z widocznym wyrazem zadowolenia poglądając jeden na drugiego.

— Pewno znaleźli nóżkę malutką! — zawołał Sokole Oko i zapominając o przyjętym na się wydziale śledzenia, pobiegł do nich. — Co tu macie? Jakto! byłażby to zasadzka? Eh nie! Przysięgam na najlepszą strzelbę jaka jest w tych krajach, wszakto znowu te konie, co po dwie nogi z jednej strony stawiają razem! Teraz już żadnej tajemnicy nie masz; rzecz tak jasna jak gwiazda północna o dwónastej wieczorem. Pojechali konno. Oto i sosna gdzie konie przywiązane były: ziemia wydeptana w koło; a ot i wielka ścieszka idąca na północ ku granicóm Kanady.

— Ale nie mamy żadnego dowodu, — rzecze Dunkan, — że Alina, że miss Munro młodsza była przy siestrze.

— Nie mamy, — odpowiedział strzelec, — chyba będziemy mieli w tém, co tam dopiero młody Mohikan podniósł z ziemi. Podaj nam to Unkas, niechaj się przypatrzémy.

Hejward poznał natychmiast klejnot, który Alina lubiła nosić, i za pomocą wiernej pamięci kochanka przypomniał nawet, że go widział na jej szyi rozstając się z rana w nieszczęsny dzień rzezi. Śpiesznie ukazawszy potém towarzyszom, skrył go przy sercu tak szybko, iż strzelec myśląc że upuścił, zaczął szukać na ziemi.

— Ach! — rzecze, nadaremno czas niejakiś rozsuwając powiędłe liście kolbą swej rusznicy; — jest to pewny znak starości, kiedy wzrok tępieć zaczyna. Taka jasna błyskotka, i nie postrzedz! Cóż robić! mogę jeszcze trafnie puścić kulę ze strzelby,

a tego dosyć na roztrzygnienie wszystkich moich sporów z Mingami. Jednakże chciałbym znaleść to cacko, chociażby dla tego tylko, żeby je właścicielce oddać. Byłoby to, jak ja nazywam, wybornie złączyć dwa końce długiego tropu; bo teraz rzeka Swiętego Wawrzyńca, albo może już i wielkie jeziora, są między nią, a nami.

— Otóż tém bardziej niepowinniśmy się zatrzymywać, — rzecze Hejward, — prędzej, idźmy dalej.

— Młodość i gorączka jest to prawie jedno, powiadają,—odezwał się Sokole Oko.— Nie idziemy polować na wiewiórki, albo daniela do Horykanu wpierać: wybieramy się w drogę na wiele dni i nocy; mamy przechodzić pustynie, gdzie rzadko postaje noga ludzka. Nigdy Jndyanin nieprzedsiębierze takiej wyprawy, niepaliwszy wprzód tytuniu przy ognisku rady, i chociaż jestem człowiek biały niezmięszanej krwi bynajmniej, pochwalam ten zwyczaj, bo daje to

czasu do namyślenia się i rozwagi. Wrócierny więc nazad i tej nocy ognisko nasze rozłożym na gruzach warowni, a jutro o świtaniu rzeźwi i pokrzepieni weźmiemy się do naszej czynności jak męższyzni, a nie jak gadatliwe kobiety, albo niecierpliwe dzieci.

Z tonu i poruszeń strzelca, Hejward poznał od razu, iż wszelkie przekładania na nicby się nie zdały; a ponieważ Munro wpadł znowu w ten stan odrętwienia, w jakim od czasu świeżo poniesionych nieszczęść zostawał ciągle i tylko wychodził z niego na chwilę, kiedy go mocne wzruszenie ocuciło; ulegając zatém potrzebie, wziął pod rękę starca i poszedł z nim za towarzyszami wracającymi już ku równinie.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Sal: Jeżeli on ci nie zapłaci, pewno nie weźmiesz mu ciała: cóżbyś z niego zrobił?
Izraelita. Przynętę na ryby: nie dla zaspokojenia głodu, ale dla nasycenia zemsty.

Szekspir.

Mrok wieczorny powiększał okropność rozwalin William Henryka, kiedy pięciu wędrowców naszych przybyło do nich. Strzelec i dwaj Mohikanie żwawo zaczęli krzątać się koło przygotowań do noclegu; lecz z ich wejrzeń poważnych i surowych, łatwo można było poznać, że obmierzłe widowisko jakie mieli przed oczyma, więcej czyniło na nich wrażenia niżeliby okazać chcieli. Kilka ogorzałych balek ukośnie po-

stawionych przy murze, miało składać coś na kształt poddasza. Unkas skończył robotę przykrywszy je gałęźmi i wskazał palcem to doczesne mieszkanie. Hejward zrozumiał niemy wyraz młodego Indyanina, wprowadził Munra do budy, radził mu wypocząć trochę, ale sam nie zdolny zachęcić go przykładem, wyszedł na otwarte powietrze.

Kiedy Sokole Oko i jego dwaj towarzysze przy roznieconym ognia posilali się skromną wieczerzą, kawałkiem niedźwiedziny wędzonej; młody major wstąpił na zwaliska wieży oblane wodami Horykanu. Wiatr ustawał; fale ciszej i jednostajniej płukały piasczyste brzegi; chmury jakby zmordowane lotem gwałtownym opadły na dół widokręgu, tylko lżejsze obłoczki nakształt stada ptaków spłoszonych z wieczornego siedliska, kręciły się nad skałami i jeziorem. Gdzie nie gdzie gwiazdka podobna do promienia przeszywającego ciemny błękit

nieba, ukazywała się i nikła w mgle snującej się jeszcze. Czarna noc pokrywała już okoliczne góry, a rozległa płaszczyzna między niemi, zdawała się opuszczonym cmentarzem, gdzie milczenie śmierci panowało wśrzód krwawych jej ofiar.

Dunkan przypatrywał się czas niejakiś widokowi tak zgodnemu z tém wszystkiem, co się niedawno w tych stronach działo. Raz zwracał oczy na rozwaliny warowni i widział posrzód gruzów jasne ognisko, a przy niém dwóch Indyan i strzelca; drugi raz poglądając ku zachodowi rozważał jak blado różowe światełko na obłokach odbite gasło nieznacznie, potém wlepił wzrok w ciemną przestrzeń napełnioną trupami.

Po chwili dał się mu słyszeć w tej stronie jakiś szmer niepojęty, tak cichy, tak tłumny, że ani go wytłumaczyć sobie nie umiał, ani brać za złudzenie nie mógł. Wstydząc się sam mimowolnej trwogi swojej, usiłował rozerwać się i zwrócił oczy na

gwiazdy kołysające się w ruchomem zwierciadle jeziora; ale nie mniej przeto czujne uszy, wkrótce znowu oznajmiły mu ten szelest jakby zapowiadając żeby strzegł się niewiadomego niebezpieczeństwa jakiegoś. Natężył więc całą uwagę i wyraźnie posłyszał nakoniec tentent podobny do szybko powtarzających się stąpań.

Nie mogąc dłużej przezwyciężać swojej obawy, cichym głosem zawołał strzelca. Sokole Oko powstał, wziął ruszniсę pod pachę i poszedł do majora krokiem tak leniwym, z powierzchownością tak spokojną i niedbałą, iż łatwo można było wnosić, ile uważał się bezpiecznym w stanowisku obranem.

— Czy słyszysz? — rzecze Hejward, kiedy strzelec zatrzymał się przy nim, — jakiś szelest na równinie; podobno że Montkalm zupełnie nieopuścił zdobytego pola.

— Jeżeli tak, to lepsze uszy niż oczy,— odpowiedział Sokole Oko z krwią najzi-

mniejszą, żując niedzwiedzinę której pełną miał gębę. — Ja sam widziałem jak on z całém swojém wojskiem wchodził do Ty; bo panowie Francuzi lubią po najmniejszej wygranej wracać do siebie i hucznie obchodzić zwycięztwo.

— To bydź może; ale Indyanin rzadko zasypia podczas wojny i chciwość zdobyczy mogła zatrzymać tu którego Hurona, chociaż jego towarzysze odeszli. Czy nie roztropniej byłoby zgasić ogień i zaczaić się cicho. Słuchaj! Nie słyszysz jaki szmer?

— Indyanin rzadko włóczy się między trupami. W zapale i rozjuszony skory on do zabójstwa i niebardzo patrzy jakim sposobem byleby zabić; lecz kiedy już obedrze nieprzyjacielowi głowę i duszę rozłączy z ciałem, natenczas kończy się jego nieprzyjaźń i zostawuje martwych w pokoju, jaki się im należy. Ale właśnie mówiąc o duszy, jak pan sądzisz, majorze; czy czerwoni będą niegdyś w tym samym raju, co my biali?

—Zapewne, zapewne. Ach! Sądziłem że znowu ten szmer; ale to może zaszelestały liście tej brzozy.

— Co do mnie, —mówił dalej Sokole Oko od niechcenia zwróciwszy na chwilę głowę w stronę, gdzie mu Hejward ukazywał palcem; — ja sądzę że raj musi bydź siedliskiem roskoszy, a zatém każdy będzie miał w nim to, co najlepiej lubi. Jeżeli tak, tedy mniemanie czerwonych niebardzo zdaje mi się dalekie od prawdy: podług wszystkich swoich podań spodziewają się oni tam lasów pełnych zwierzyny; a co się tyczy tego, jak ja uważam, nie wstyd byłoby i człowiekowi białemu, który ani kropli krwi zmięszanej nie ma, przepędzać sobie czas na....

—A co! słyszysz teraz?

—Słyszę, słyszę; czy żeru jest dosyć, czy mało, wilki zawsze prowadzą wojnę. Gdyby to za światła i wolnym czasem, chodziłoby tylko o to, którego skórę wybrać.

Ale wracając do przyszłego życia, majorze; słyszałem nie raz na kazaniu, że w niebie jest najwyższa szczęśliwość; lecz każdy na czém innem tę szczęśliwość zakłada. Ja, naprzykład, mówiąc bez obrazy woli Opatrzności, niebardzo miałbym sobie za szczęście siedzieć cały dzień zamknięty i słuchać kazania, kiedy wrodzoną mam skłonność do polowania i ruchu.

Dunkan i sam natenczas mniemając że słyszy swar wilków, skoro mu strzelec wytłumaczył przyczynę szmeru, uspokoił się zupełnie i ciekawy na czém się skończy ta rozprawa towarzysza, zaczął uważniej go słuchać.

— Trudno jest powiedzieć, — odezwał się nareszcie, — co człowiek będzie czuł potém, kiedy ulegnie wielkiej i ostatniej zmianie.

— Byłoby to okropnie, — kończył strzelec swoje, — dla człowieka który tyle dni i nocy przepędził na wolném powietrzu.

Byłoby to jedno, co usnąć przy źrzódle Hudsonu, a ocknąć się blizko wodospadu. Ale wielka to pociecha wiedzieć, że wszyscy służemy litościwemu panu, chociaż każdy swoim sposobem, i chociaż niezmierzone pustynie przedzielają nas od niego. Ach! cóż to ja słyszę?

— Albożto nie wrzawa żerujących wilków, jak sam mówiłeś?—zapytał Dunkan.

Sokole Oko wstrząsnął głową i dał znak majorowi żeby przeszedł za nim na miejsce nieoświecone od ognia. Uczyniwszy tę ostróżność, nadstawił ucha i z natężeniem słuchał czy nie powtórzy się ten sam szelest co go zastanowił. Lecz gdy cała jego czujność nic nie odkryła; po kilku minutach najgłębszego milczenia, przemówił cicho do Hejwarda:

— Trzeba zawołać Unkasa: on ma zmysły Indyanina i posłyszy czego my słyszeć nie możemy; bo zawsze jestem biały i próżnobym zapierał się tego.

To rzekłszy zakrzyczał jak sowa. Na głos ten, młody Mohikan rozmawiający wtenczas z ojcem przy ogniu, zadrżał i powstał szybko. Strzelec widząc że jeszcze jakby niepewny skąd pochodziło wołanie oglądał się na wszystkie strony, powtórzył swoje hasło, a Dunkan wnet postrzegł Unkasa zbliżającego się ostróżnie.

Sokole Oko powiedział mu kilka słów w języku delawarskim; młody Indyanin uwiadomiony o co rzecz chodziła, odszedł kilka kroków, padł twarzą na ziemię i jak się Hejwardowi zdawało, w tém położeniu został bez ruchu. Po wielu minutach major zdziwiony nakoniec że tak długo leżał w jednostajnej postawie, i ciekawy jakimby sposobem odbywał zlecone sobie podsłuchy, zbliżył się do miejsca gdzie go widział ciągle; lecz z wielkiem zdumieniem nie znalazł Unkasa, a to co mu się wydawało jego ciałem rozciągnioném na ziemi, był tylko cień blizko sterczących gruzów.

— Gdzież się to podział młody Mohikan? — zapytał strzelca wróciwszy do niego; — widziałem jak tam upadł i mógłbym przysiądz że nie powstał.

— Cyt! mów pan ciszej! Niewiadomo jakie uszy są otwarte koło nas, a pokolenie Mingów ma je nie złe. Unkas oddalił się pełznąc; już zapewne jest na polu i jeżeli który Makwa ośmieli się pokazać jemu, pozna z kim będzie miał doczynienia.

— Sądzisz więc że Montkalm nie wszystkich swoich Indyan poprowadził z sobą? Zawołajmy naszych i przygotujmy broń; wszakże nas pięciu i żaden nigdy się nieprzyjaciela nie lękał.

— Aniważ się pan pokazać głosu, jeżeli dbasz o życie! Proszę patrzeć, jak Sagamor siedzi przy ogniu! sama ta postać, czyliż nie pokazuje wielkiego wodza indyjskiego? Gdyby tu gdzie byli włoczęgi jakie, mogliżby poznać z jego twarzy, że choć

najmniejszego spodziewamy się niebezpieczeństwa?

— Ale mogliby go zobaczyć, prawie napewno mogliby go strzałą lub kulą ugodzić. Przy blasku ognia tak wyraźnie widzialny, niezawodnie pierwszy z pomiędzy nas padnie.

— Nic pewniejszego, że słusznie pan mówisz, — odpowiedział Sokole Oko, okazując tyle niespokojności, ile jeszcze dotąd widać w nim nie było; ale cóż temu poradzić? najmniejszy ruch podejrzany mógłby prędzej ściągnąć na nas nieprzyjaciół, niżelibyśmy zdołali chwycić się do obrony. Wie już on z hasła danego Unkasowi, że się coś niospodzianego dzieje; zaraz innym znakiem oznajmię mu zbliżanie się Mingów: jego natura indyjska nauczy go, co ma począć.

Strzelec przyłożył palce do gęby i wydał swist przytłumiony, a Hejward wstrzął się jak gdyby węża blizko siebie usłyszał.

Szyngaszguk oparty na ręku siedział w zamyśleniu, kiedy głos płazu, którego nazwisko nosił, obił się o jego uszy. Nagle a może i mimowolnie wzruszony, podniosł głowę i czarne swe oczy szybko rzucił koło siebie; lecz ten ruch nie trwał nad chwilę i żadnej innej oznaki zdziwienia lub trwogi niktby w nim nie postrzegł. Strzelba stała tuż przy nim, tomahawk dla swobodniejszego wypoczynku odczepiony od pasa leżał u nog jego; ani myślał jednak sięgnąć po nie, i znowu przybierając tęż samą co pierwej postawę, przeniosł tylko głowę na drugą rękę, jak gdyby chciał przezto dać poznać, że poruszył się z miejsca aby zmienić zmordowane ramię. Czekał potém dalszego wypadku z tą spokojnością, jakiejby nikt prócz Indyanina wymodz na sobie nie zdołał.

Gdy tak wódz Mohikanów mniej bacznym oczom mógł wydać się blizkim zdrzemania; Hejward, postrzegł jednak, że je-

go nozdrze bardziej były otwarte niż zawsze, głowa trochę pochylona na bok jak gdyby nastawiał ucha chcąc najlżejszy szelest posłyszeć, a wzrok krótkim i nagłym zwrótem przebiegał rozmaite przedmioty.

— Patrz pan jakito dzielny wojownik!— szepnął Sokole Oko ściskając Dunkana za rękę; — wie on że najmniejsze skinienie zniweczyłoby naszę ostróżność i wydałoby nas wszystkich w łotrowskie ręce tych...

Przerwał mu błysk prochu i huk strzału, a rozpierzchnione iskry z ogniska napełniły powietrze w tém miejscu, gdzie jeszcze oczy Hejwarda z uwielbieniem wlepione były. Szyngaszguk podczas zamięszania zniknął, a strzelec odwiodł kurek i trzymając rusznicę na pogotowiu, czekał tylko żeby się nieprzyjaciel ukazał. Lecz zdawało się, że na tém próżném kuszeniu się o życie Sagamora, skończyła się cała napaść. Dwa lub trzy razy zaszumiał szelest w oddalonych krzakach; ale

bystry wzrok strzelca wnet postrzegł gromadę wilków uciekających zapewne od strzału. Po kilku minutach milczenia upłynionych w niecierpliwości i trwodze, dał się słyszeć mocny plusk wody, a tuż za nim drugi huk broni ognistej.

— To strzelba Unkasa, — rzecze Sokole Oko, — znam jej huk tak dobrze, jak ojciec głos swojego dziecka. O! dobra to strzelba; nosiłem ją długo, nim dostałem lepszą.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał Dunkan; — zdaje się że nieprzyjaciele zaprzysięgli naszę zgubę i ciągle nas śledzą.

—Pierwszy strzał w istocie przekonywa, że nie bardzo dobrze nam życzą; ale oto ten Indyanin jest dowodem, że nie uczynili nam nic złego, — odpowiedział Sokole Oko ukazując Szyngaszguka, który wyszedłszy z cieniu zbliżał się do nich. — No, Sagamorze, czy to Mingowie turbują nas doprawdy, czy może to tylko któryś

z tych gadów wlekących się za wojskiem, co kradną czupryny trupom, żeby później chełpić się przed swojemi skwawami ile dokazywali w wyprawach przeciwko twarzom bladym?

Szyngaszguk znów zajął swoje miejsce z krwią najzimniejszą i wprzód obejrzał głównię rozbitą kulą, która była przeznaczona dla niego, a potém podniosłszy palec, wymówił jednogłoskę angielską: Hum.

— To właśnie jak ja myśliłem, — rzecze strzelec siadając przy nim, — i ponieważ pierwej on zanurzył się do jeziora, niż Unkas wystrzelił, bardzo bydź może że umknął i poszedł szczęśliwie kłamać niesłychane rzeczy o swojej zasadzce na dwóch Mohikanów i białego strzelca; bo co naszych oficerów to pewno uważa za nic w tym razie. Mniejsza o to, niech sobie idzie! wszędzie są poczciwi ludzie, a chociaż, Bóg świadkiem, między Makwa-

mi ich najmniej; znajdzie się może i tam kilku takich, co wyszydzą chwaliburcę bredzącego przeciw rozumowi. Kula tego łotra zagwizdała tobie w uszy, Sagamorze?

Szyngaszguk spojrzał tylko odniechcenia na przestrzeloną głównię, i jakgdyby podobny wypadek nie był zdolny go wzruszyć, niezmienił swojej zimnej postawy. Unkas powrócił w tej chwili i usiadł przy ogniu, równie spokojny i obojętny jak jego ojciec.

Hejward z ciekawością i zadziwieniem śledząc oczyma wszystkie ich ruchy, gotów już był mniemać, że strzelec i dwa(Indyanie mieli tajemny sposób porozumiewania się między sobą, którego on dostrzedz nie mógł. Kiedyby bowiem młody Europejczyk w podobnym razie z pośpiechem a może i z dodatkiem, nietracąc chwili zaczął opowiadać towarzyszóm najdrobniej-

sze szczegóły wyprawy odbytej w pociemku; młodzieniec indyjski przeciwnie, zdawało się że swoim czynnościom zostawiał mówić za siebie. Jakoż nie była to pora dla wojownika dzikiego w takiém miejscu i w takim czasie chwalić się z dzieł swoich, i pewno gdyby Hejward nie wtrącił pytania, ani słowa nie powiedzianoby o tym przedmiocie.

— Cóż się stało z naszym nieprzyjacielem, Unkasie? — zapytał go;—słyszeliśmy twój strzał i spodziewamy się że nie strzeliłeś naprózno.

Młody Mohikan odsłonił trochę połę swego odzienia i pokazał krwawy dowód zwycięztwa: czuprynę utroczoną do pasa.

Szyngaszguk pogładził ją dłonią, przypatrywał się chwilę, a potém cofając rękę z widoczną wzgardą zawołał:

— Hug! Onejda!

— Onejda!—powtórzył strzelec, i chociaż zaczynał już tracić zwykłą swą ży-

wość żeby na podobieństwo towarzyszów przybrać pozor odrętwienia, zajrzał jednak ciekawie na obmierzłe godło tryumfu; — dla Boga! jeżeli Onejdy będą nas tropili, kiedy my tropiemy Huronów, znajdziemy się między dwóma hordami czartów! No proszę, w oczach białego czupryna ta niczém się nie różni od wszystkich czupryn indyjskich, przecież Sagamor powiada że rosła na głowie Minga i nawet wymienia jego pokolenie. A ty Unkas, jak mówisz? jakiego narodu był łotr, którego tak słusznie wyprawiłeś do diabła?

Unkas podniosł oczy na strzelca i odpowiedział mu swoim słodkim, muzycznym głosem:

— Onejda!

— Jeszcze raz Onejda! — zawołał Sokole Oko. — Co Indyanin mówi, już to pospolicie jest prawda, ale kiedy przytém drugi potwierdzi, można temu wierzyć jak słowom ewangelii świętej.

— Pomylił się nieborak, — rzecze Hejward; — wziął nas za Francuzów; nie myśliłby przyjacielowi wydzierać życia.

— Jakto! Mohikana umalowanego w narodowe barwy, wziąść za Hurona! — zawołał strzelec; — toż samo byłoby powiedzieć, że białe mundury grenadyerów Montkalma można wziąść za czerwone Anglików. Nie, nie, ten gad wiedział bardzo dobrze co robił, i nie było tu żadnej pomyłki, bo nie masz przyjaźni do stracenia między Delawarem a Mingo, mniejsza o to, czy tej, czy owej strony białych trzymają się ich pokolenia. A co się tyczy tego, chociaż Onejdy służą jego królewskiej mości, mojemu monarsze i panu, królowi angielskiemu, moja danielówka bez zastanowienia powitałaby sarniakiem ten plugawy owad, gdyby szczęście mnie dało go spotkać.

— Byłoby to naruszyć traktat i postąpić jak nie przystoi tobie.

— Kiedy człowiek długo żyje z inny-

mi ludźmi, jeżeli nie jest łotrem, a oni są poczciwi, przyjaźń zawiązać się musi. Prawda, że chytrość białych potrafiła dziwnie zawichrzyć przyjaźń i nieprzyjaźń pokoleń; bo Huronowie i Onejdy, chociaż mówią jednym językiem, chociaż można powiedzieć, jednym są narodem, usiłują nawzajem zdzierać sobie czupryny; a Delawarowie rozdzieleni między sobą niektórzy zostali przy wielkiem ognisku swojej rady i w jednejże z Mingami potykają się sprawie, gdy tymczasem większa ich część przez wrodzoną nienawiść ku tymże samym Mingóm, wyniosła się do Kanady. Jednak człowiek czerwony nie taką ma naturę żeby uczucia swoje zmieniał za lada powiewem wiatru, i dla tegoto Mohikan w takiej przyjaźni żyje z Mingiem, w jakiej człowiek biały z wężem.

— Przykro mi słyszeć to od ciebie przyjacielu; bo sądziłem zawsze, że dzicy mieszkający koło naszych osad, jedynie z tej

przyczyny iż uważali nas za nadto sprawiedliwych, niechcieli wdać się zupełnie do naszych sporów.

— Dalibóg, jestto rzecz bardzo naturalna, dawać wyższość swoim sporom nad cudzémi. Co do mnie, lubię sprawiedliwość i dla tego..... Nie, nię powiem, że nienawidzę Minga; to przeciwiłoby się i farbie i religii mojej, ale jeszcze raz powtórzę: że jeżeli moja danielówka tego łotra włoczęgę, nie przywitała sarniakiem, ciemność winna temu.

Ufny w moc swego rozumowania, bez względu ile to przekonywało tego co mu czynił zarzuty, poczciwy lecz zawzięty strzelec zwrócił głowę w inną stronę, jakgdyby chciał położyć koniec tej rozprawie.

Hejward zbyt mało świadom sposobu toczenia utarczek w lasach, lękając się ciągle nowej napaści jakiej, wstąpił na gruzy okopu. Nie tak działo się z Mohikanami i strzelcem. Mając bystrzejsze a

długą wprawą i potrzebą wyćwiczone zmysły, równie oni byli zdolni odkryć niebezpieczeństwo, jak zapewnić się że nic im nie groziło. Żaden z nich nie miał najmniejszej wątpliwości lub obawy i wszyscy trzej dali tego dowod, zabierając się spokojnie do złożenia rady wzgiędem dalszych swych działań.

Poróżnienie narodów i nawet pokoleń, o którem dopiero Sokole Oko uczynił wzmiankę, okazywało się natenczas w najwyższym stopniu. Zerwał się potężny węzeł wspólnego języka a zatém i wspólnego początku. Skutkiem tego rozterku sześć narodów sprzymierzonych, pod ogólném nazwiskiem Mingów zajętych, mimo odwieczną nienawiść ku Delawarom stanąwszy w jednych z nimi szykach, walczyło przeciw Huronom. Delawarowie zaś byli jeszcze rozdzieleni między sobą. Przywiązanie do siedliska przodków zatrzymało Sagamora z synem i garstką Delawarów

służących w twierdzy Edwarda pod znakami angielskiemi; kiedy tymczasem większa ich część, przez nieprzyjaźń ku Mingom chwyciła się strony Montkalma i wyciągnęła w pole.

Potrzeba żeby czytelnik wiedział, jeżeli dotąd niedowiedział się o tém, że Delawarowie albo Lenapy, uważali siebie za pierwiastkowy szczep licznego ludu, który posiadał niegdyś wszystkie równiny i lasy w północno wschodniej stronie dzisiejszych Stanów Zjednoczonych; a między nimi Mohikanie byli najstarszém i najdostojniejszém pokoleniem.

Z doskonałą tedy znajomością interesu przeciwnych podburzeń, które przyjaciół uzbroiły przeciw przyjaciołóm, a nieprzyjaciół odwiecznych skłoniły do walczenia z jednejże strony, strzelec i jego dwaj towarzysze mieli zastanawiać się nad sposobem odbywania swojej wyprawy wśrzód tylu hord dzikich, rozmaite mających

skłonności i widoki. Dunkan tyle już znając zwyczaje Indyan, iż łatwo się domyślił w jakim celu ogień rozniecono na nowo, i dla czego dwaj Mohikanie, a nawet i strzelec poważnie usiedli pod baldakinem dymu, tak się umieścił, aby mógł widzieć wszystko co będą robili, i niezaniedbując mieć czujnego ucha na najmniejszy szelest, uzbrojony w cierpliwość na jaką mu wystarczało, czekał wypadku narady.

Po krótkiem milczeniu Szyngaszguk wziął lulkę z miękkiego kamienia krajowego bardzo starannie wyrobioną i mającą cybuch drewniany, popalił ją trochę, i oddał Sokolemu Oku, a ten w kilka chwil Unkasowi. Lulka trzy razy obeszła kolej nim którykolwiek z nich pomyślał przemówić. Nakoniec Szyngaszguk, jako najstarszy wiekiem i najwyższy z dostojności zabrał głos, wyłożył przedmiot narady i w nie wielu słowach spokojnie i poważnie

dał swoje zdanie. Strzelec dwa razy czynił mu zarzut, Mohikan odpowiadał; ale młody Unkas słuchał z uszanowaniem i milczał, póki go Sokole Oko nie zapytał. Z tonu i poruszeń mówców Hejward wniósł, że ojciec i syn zgadzali się na jedno, a biały ich towarzysz utrzymywał przeciwnie. Spór zaczynał ożywiać się powoli i widocznie obie strony niechciały odstąpić swego mniemania.

Lecz mimo coraz bardziej wzrastający zapał tej przyjacielskiey sprzeczki, zgromadzenia chrześcijańskie najlepiej dobrane, nie wyłączając nawet synodów z samych tłumaczów słowa Bożego złożonych, mogłyby zbudować się widząc umiarkowanie, cierpliwość i wzajemną grzeczność, trzech spierających się mieszkańców lasu. Słowa Unkasa z równą były słuchane uwagą, jak rady jego ojca przez dojrzalszy rozsądek i doświadczenie natchnione. Żaden nie wyrywał się mówić z natarczy-

wym pośpiechem i nie pierwej zabierał głos, aż kilka chwil w milczeniu zastanowił się nad tém, co słyszał i co miał odpowiedzieć.

Słowom Mohikanów towarzyszyły poruszenia tak naturalne i dobitne, że nie trudno było Hejwardowi domyślać się ich treści. Mowa strzelca zdawała się ciemniejszą dla niego, bo Sokole Oko przez tajemną dumę z białej swej farby, przybrał ten zimny i nieożywiony sposób tłumaczenia się, jaki mają wszystkie klassy Anglo-Amerykanów, jeżeli żadna namiętność ich nie wzrusza. Często powtarzane jesta któremi Indyanie wyrażali rozmaite znaki pospolicie wskazujące im drogę wśród lasów, były dowodem, że nalegali lądem dbywać dalszę podróż; przeciwnie ręka Sokolego Oka wielekroć zwracając się ku Horykanowi mogła podawać domysł, że chciał płynąć wodą.

Zdawało się jednak jak gdyby strzelec

zaczął ustępować i zdanie przeciwne jemu miało już bydź uchwalone, kiedy w tém powstając nagle, zrzucił z siebie powierzchowność odrętwiałą, a chwycił się wszystkich sposobów i sprężyn wymowy indyjskiej. Zakreśliwszy naprzód w powietrzu od wschodu ku zachodowi półkole wskazujące bieg słońca, powtórzył ten znak tyle razy, ile podług jego mniemania, potrzeba im było dni na przebycie lasów. Ciągnąc następnie po ziemi liniją długą i krętą, wyobrażał przez jesta trudności, jakie stawiłyby im góry i rzeki. Udaniem znużenia w postawie i na twarzy, odmalował wiek i słabość Munra; a Dunkan poznał że i o jego siłach do zniesienia tylu trudów, nie wiele trzymał, kiedy w tymże czasie wyciągając rękę dodał słowa: Dłoń Otwarta, przezwisko, które hojność majora zjednała mu u wszystkich przjaznych pokoleń indyjskich. Naśladował potém lekki ruch łódki pędzonej wio-

słami po wodzie i obok tego ociężały chód zmordowanego człowieka. Zamknął rzecz nakoniec ukazując palcem włosy Onejdcy, zapewne chcąc przezto dać uczuć, że potrzeba było uchodzić czém prędzej i żadnego po sobie niezostawiać śladu.

Mohikanie słuchali poważnie, lecz z ich twarzy dawało się wyczytać, jak głębokie wrażenie czyniło na nich to wszystko, jak stopniami przekonywały się ich umysły. Pod koniec mowy Sokolego Oka każdy okres zamykali wykrzyknikiem, który u dzikich znaczy potwierdzenie lub oklask. Słowem, Szyngaszguk i jego syn nawrócili się na stronę strzelca, odstępując swego zdania z taką prostotą, że gdyby byli reprezentantami jakiego cywilizowanego narodu, straciliby na zawsze opiniją polityków, jako zdolni usłuchać zdrówszej rady.

Skoro tylko wyrok ustalony został, nikt już nie myślał o poprzednich sporach.

Sokole Oko nie rzuciwszy nawet spojrzenia koło siebie, żeby wyczytać swój tryumf w oczach towarzyszów, rozciągnął się spokojnie przy dogorewającym ogniu i wkrótce zasnął.

Ledwo dopiero zostawieni niejakoś sami sobie Mohikanie, po tylu godzinach poświęconych dla innych, chwycili tę chwilkę dla siebie. Szyngaszguk zrzuciwszy zimną i surową powagę wodza indyjskiego, zaczął mówić do syna łagodnym i uprzejmym tonem przywiązanego ojca; a Unkas odpowiadał mu z czułością pełną uszanowania. Strzelec nim zasnął mógł widzieć nagłą i zupełną zmianę w obejściu się dwóch jego towarzyszów czerwonych.

Trudno jest opisać muzykę ich mowy, kiedy oddani wesołości i uczuciom wzajemnego przywiązania, rozmawiali między sobą. Głos ich obu, lecz mianowicie młodzieńca, raz spadał na ton najniższy, drugi raz podnosił się do najwyższego i sta-

wał się tak pieszczony, że go za niewieści wziąść można było. Ojciec z przyjemnością poglądając na pełne wdzięku i prawie dziecinne ruchy syna, uśmiechał się za każdą jego odpowiedzią. Tkliwy wpływ tak naturalnego uczucia spędził z twarzy Szyngaszguka wszelki ślad okrócieństwa i zdawało się że obraz śmierci na jego piersiach był raczej wymalowany dla żartu, niżeli dla straszliwej nieprzyjaciołom zapowiedzi.

Kiedy wśrzód tych miłych uciech przeleciała godzina, Sagamor oświadczył chęć wypoczynku i uwinąwszy głowę w płachtę pokrywającą jego plecy wyciągnął się na ziemi. Odtąd Unkas strzegąc się najmniejszego szelestu, zgarnął węgle żeby ogrzewały nogi ojca i poszedł szukać w rozwalinach legowiska dla siebie.

Ufność w bezpieczeństwo, jaką okazywali ludzie dzikiego sposobu życia, uspokoiła obawę Hejwarda. Nieociągał się więc

pojść za ich przykładem, i daleko pierwej nim noc odbyła połowę swej drogi, wszyscy schronieni w zwaliskach William Henryka, spali snem tak głębokim, jak te ofiary barbarzyńskiej zdrady, których kości miały tu bielić się na równinie.

ROZDZIAŁ TRZECI.

„Albańska kraino!
Ty dzikich pokoleń, dzika dziedzino,
Pozwól mym oczom nasycać się tobą!"

Lord Bajron.

Jeszcze niebo było usiane gwiazdami, kiedy Sokole Oko przyszedł budzić dwóch oficerów. Munro i Hejward usłyszawszy szelest wprzód, nim strzelec zawołał ich pocichu, zerwali się na nogi i otrzepując odzienie wyszli z pod szałasu. Roztropny przewodnik powitał ich tylko dobitném skinieniem zalecając cichość i zbliżywszy się szepnął na ucho:

— Odmówcie państwo myślą swoje pacierze; bo ten, do kogo idą modlitwy, równie rozumie mowę serca jednaką wszędy, jak wy-

razy języka różne w każdym kraju; ale nieodzywajcie się ani słowa; bo rzadko głos białego umie zachować ton przyzwoity w lasach, jak tego już dowiódł naprzykład, ten poczwara śpiewak. Proszę iść za mną, — rzekł potém zmierzając ku rozwalinom wału: — zstąpmy tędy do rowu; tylko ostróżnie, żeby nie trącać kamieni i gruzów.

Dwaj towarzysze starali się zachować podług tych zaleceń, chociaż przyczyna tak nadzwyczajnej ostróżności dla jednego z nich była tajemnicą. Rów ze trzech stron opasujący twierdzę, w wielu miejscach zarzucony zwaliskami budowli i murów, stawił ciężkie do przebycia zawady; jednak przy cierpliwości i odwadze potrafili zdążyć za przewodnikiem i wkrótce wyszli na piasczysty brzeg Horykanu.

— No, otož tym śladem chyba kto za pomocą węchu nas dojdzie, — rzekł strzelec z zadowoleniem poglądając na odbytą drogę; — po trawie niebezpieczno iść ucieka-

jącemu, ale na drzewie i na kamieniach nie zostaje znak mokkasinów. Gdybyście państwo byli w swoich bótach, mogłaby jeszcze pozostawać niejakaś obawa; ale mając pod podeszwami skórę danielową wyrobioną należycie, nie masz czego lękać się skał, w każdym razie prawie. Podpędź czółno dalej, Unkas; tu noga na piasku wycisnęłaby się tak łatwo, jak na maśle Holendrów nadmohawskich. Powoli! powoli! żeby czółno dna nie dotknęło; bo te łotry poznają z którego miejsca puściliśmy się na wodę.

Młody Indyanin wypełnił to wszystko, a strzelec wziąwszy deskę z pomiędzy rozwalin, oparł jednym końcem na łódce, dał znak oficerom żeby weszli po niej i umieścili się obok Szyngaszguka, a potém obejrzawszy czy niezostawili jakiego śladu, wszedł za nimi i silnym zamachem rzucił deskę daleko na gruzy rozciągające się aż do brzegu.

Mohikanie wzięli się do wioseł i kiedy już łódka znacznie oddalona od twierdzy znalazła się w grubym cieniu gór otaczających wschodni brzeg jeziora, Hejward ośmielił się przerwać milczenie.

— Dla czego wyruszyliśmy tak śpiesznie i z taką ostróżnością? — zapytał Sokolego Oka.

— Gdyby krew Onejdy mogła zaczerwienić całą powierzchnią tej wody, nie pytałbyś się mię pan o to; własne oczy pańskie dałyby odpowiedź. Czy pan nie pamiętasz jaką gadzinę Unkas zabił wczoraj wieczor?

— Pamiętam bardzo dobrze; ale wszakże sam mówiłeś że nieprzyjaciel był tylko jeden, a martwych nie masz się czego obawiać.

— Zapewne, był on natenczas jeden, kiedy strzelał; ale Indyanin z pokolenia liczącego tylu wojowników rzadko może się lękać żeby za krew jego, którykolwiek

z nieprzyjaciół nie wydał wkrótce jęku skonania.

— Jednakże obecność nasza, władza półkownika Munra jest, zdaje się, dostateczną obroną przeciw zawziętości naszych sprzymierzeńców, zwłaszcza w rzeczy o nikczemnika który aż nadto zasłużył na los jaki go spotkał. Spodziewam się że dla tak płonnej obawy nie zboczyłeś z drogi najprostszej do naszego celu?

— Czy pan sądzisz, że kula tego łotra zboczyłaby ze swojej drogi, chociażby sam król angielski znajdował się na niej? Dla czegoż ten Francuz, co rządzi w Kanadzie, nie zakopał tomahawku Huronów, jeżeli tak łatwo białemu powściągać czerwonych, jak pan powiadasz?

Tylko co Hejward miał odpowiedzieć, Munro na wspomnienie okropnego wypadku, wydał jęk głęboki. Major zamilkł przez wzgląd na boleść przyjaciela, lecz po chwi-

li dał odpowiedź Sokolemu Oku poważnym i uroczystym tonem.

— Do samego Boga należy osądzić w tém Montkalma.

— Tak jest, co teraz to słusznie pan mówisz, bo tak każe religija i honor. Wcale inna rzecz jednak, wysłać jaki półk grenadyerów na obronę ludu mordowanego przez dzikich; inna zaś pięknemi słowami skłonić rozgniewanego Indyanina, żeby zapomniał że ma strzelbę tomahawk i nóż pod ręką; chociażbyś pan na pierwszym wstępie przemówił do niego: mój synu. Ale dzięki Bogu, — dodał z właściwym sobie cichym śmiechem poglądając na brzeg William Henryka niknący już w pomroce; — muszą oni naszych śladów szukać na powierzchni wody, i chyba że zawarłszy przymierze z rybami, dowiedzą się od nich jakie ręce robiły wiosłem, to nie przedzielemy się od tych łotrów całą długością

Horykanu, wprzód nim oni się namyślą kędy nas ścigać.

— Kiedy nieprzyjaciele i za nami i przed nami, nasza podróż może bydź bardzo niebezpieczna.

— Niebezpieczna, — powtórzył Sokole Oko najspokojniej; — nie zupełnie niebezpieczna; bo przy bystrych oczach i dobrych uszach zawsze możemy o kilka godzin wyprzedzać tych zbójców. A w ostatku, gdyby i przyszło do strzałów, jest ku nas trzech, co umiemy tak dobrze wziąść na cel, jak najlepsi strzelcy wojsk pańskich. Niezupełnie niebezpieczna. Nie dla tego żebyśmy nie mogli bydź natarci zblizka, jak państwo mówicie mieć utarczki; ale że nie brakuje nam nabojów i potrafiemy znaleść przystań.

Bydź może, że Hejward, który odznaczał się walecznością, mówiąc o niebezpieczeństwie, uważał je nie pod tym względem, co Sokole Oko; usiadł jednak i łód-

ka w milczeniu wiele mil niosła ich po wodzie.

Dzień zaczynał już świtać kiedy przypływali do miejsa, gdzie niezliczone mnóstwo wysep, po większej części lasem zarosłych, pokrywa Horykan. Właśnie tędy Montkalm odpływał z wojskiem i mógł zostawić część Indyan, bądź dla przykrycia tylnej straży, bądź dla zebrania rozpierzchnionych. Zbliżali się więc tutaj w najgłębszém milczeniu i ze wszelką zwyczajną sobie ostróżnością.

Szyngaszguk porzucił wiosło, strzelec wziął je i wspólnie z Unkasem kierował czółno w zakrętach między drobnemi wysepkami, na których lada moment mógł pokazać się nieprzyjaciel ukryty. Tymczasem oczy Mohikana bezprzestanku toczyły się od wyspy do wyspy, od krzaku do krzaku; zdawało się nawet, że wzrok jego chciał zalecieć na wierchołki gór nadbrzeżnych i przeniknąć głąb lasów.

Hejward z podwójną bacznością, miłośnika pięknych widoków i wędrowca niespokojnego o siebie, przypatrujący się czarownym tym miejscom, zaczynał już uważać swoję obawę za próżną, gdy wtém wiosła ustały nagle na dany znak przez Szyngaszguka.

— Hug! — zawołał Unkas prawie w tejże chwili kiedy jego ojciec oznajmując o jakimś niebezpieczeństwie, stuknął zlekka po brzegu czółna.

— Cóż tam jest? — zapytał strzelec. — Jezioro stoi tak cicho, jak gdyby nigdy wiatr nie wiał, i na wiele mil mogę widzieć po za wodzie; ale niepostrzegam nawet ani kaczki.

Indyanin zwolna podniósł wiosło i wskazał niem punkt, gdzie oczy jego ciągle utkwione były. W pewnej odległości przed nimi leżała wysepka pokryta lasem; lecz zdawała się tak spokojna, jak gdyby noga ludzka nigdy jej nie zwiedziła.

— Nic nie masz prócz ziemi i wody, a widok zachwycający,—odezwał się Hejward rzuciwszy wzrok w kierunku wskazanym przez Szyngaszguka.

— Cyt,—rzecze strzelec.—Tak Sagamorze, ty nigdy nic niezrobisz bez przyczyny. Jestto mgła tylko, ale mgła niezwyczajna. Czy widzisz panie majorze, parę zbierającą się nad tą wysepką? Jednak to nie para, bo bardziej wydaje się podobną do rozwlekłego obłoczku.

— To są wyziewy z wody.

— Tak powiedziałoby dziecko. Ale czy nie widzisz pan że te mniemane wyziewy są ciemniejsze w górze niż u dołu? Wyraźnie wychodzą z lasu leżącego na tamtym końcu wyspy. Ja powiadam panu że to jest dym, i podług mnie, wychodzi on z przygaszonego ogniska.

— Dobrze więc, przybijmy do wyspy i zaspokojmy naszę wątpliwość. Na tak małej

wysepce nie może mieścić się liczna gromada, a nas jest pięciu.

— Jeżeli pan sądzisz o chytrości Indyan podług prawideł wyczytanych w swoich książkach, albo polegając tylko na samej przenikliwości białego, pomylisz się nie raz i włosy pańskie bardzo mogą bydź biédne.

Sokole Oko przypatrując się z większém natężeniem znakowi zapowiadającemu bliz-kość nieprzyjaciół, zamilkł na chwilę, a potém dodał:

— Gdyby mi wolno było odezwać się z mojém zdaniem w tej mierze, powiedziałbym, że dwa tylko pozostają nam śrzodki; pierwszy, zaniechać ścigania Huronów i wrócić nazad; a....

— Nigdy! — zawołał Hejward głośniej niżeli okoliczności pozwalały.

— Dobrze, dobrze, — rzecze strzelec dając mu znak, żeby się uciszył. — Ja sam jestem tego zdania; ale uważałem sobie za powinność podać do wyboru dwojaką radę. Kie-

dy tak, to ruszajmy dalej i jeżeli na tej czy na drugiej wyspie są Indyanie albo Francuzi, zobaczémy kto lepiej robić wiosłami potrafi. Słusznie ja mówię, Sagamorze?

Mohikan odpowiedział tylko nowym zamachem wiosła, a ponieważ stér łódki należał natenczas do niego, poruszenie to dostatecznie dało poznać jego zamiar, który wspierano tak dobrze, że w kilka minut mogli już wyraźnie widzieć północny brzeg wyspy.

— Otóż macie! — rzecze strzelec. — Dym widać niewątpliwie, a co większa i dwie łodzie u brzegu. Łotry nie rzucili jeszcze oka na nas; bo jużbyśmy posłyszeli ich przeklęty krzyk wojny. No, prędzej, prędzej, przyjaciele, już i tak jesteśmy dosyć daleko od nich, prawie dalej niż kula dosięgnąć może.

Przerwał mu strzał karabinowy i kula padła do wody o kilka stop od czółna, a razem okropne wycia oznajmiły im z wyspy

że są postrzeżeni, i prawie tejże chwili gromada dzikich wskoczywszy naprędce do swoich łodzi, puściła się w pogoń za nimi. Widok blizkiej napaści nie zmienił ani jednego rysu na twarzach Mohikanów i strzelca; wiosła tylko silniej zaczęły działać i zdawało się że mała ich łódka jak ptak leciała po nad wodą.

— Trzymaj ich w tej odległości, Sagamorze;—rzecze strzelec bez przerwy w robieniu wiosłem i spokojnie poglądając za siebie przez ramię; — trzymaj ich w tej odległości. Huronowie w całym swoim narodzie nigdy nie mieli strzelby, coby mogła tak sięgać; a ja wiem jak moja danielówka bije.

Zapewniwszy się że łódka bez jego pomocy mogła trzymać się w przyzwoitej mecie, Sokole Oko położył wiosło, a wziął swoję długą rusznicę. Trzy razy składał się i trzy razy odbierał kolbę od twarzy, zalecając ciągle towarzyszom, żeby je-

szcze bliżej przypuścili nieprzyjaciół. Nakoniec z zadowoleniem zmierzywszy oczyma przestrzeń, podwyższył rurę lewą ręką, i wziął na cel; lecz tylko co miał pociągnąć za cęgiel, przeszkodził mu nagły wykrzyknik Unkasa.

— Cóż tam jeszcze? — zapytał odwracając głowę. — Twoje Hug! ocaliło życie Huronowi, którego miałem na celu. Czegoż tam krzyknąłeś?

Unkas nic nieodpowiadając wskazał mu tylko na wschodni brzeg jeziora, skąd inna łódź wojenna prosto zmierzała do nich. Nie potrzeba było słów na potwierdzenie tak widocznego niebezpieczeństwa. Sokole Oko natychmiast rzuciwszy strzelbę, znowu wziął się do wiosła, a Szyngaszguk skierował łódkę ku zachodowi, żeby się więcej oddalić od nowych nieprzyjaciół śpieszących za nimi z wrzaskiem wściekłości. W tej krytycznej chwili sam Mun-

ro nawet wyszedł z odrętwienia, w jakie nieszczęścia go wprawiły.

— Przybijmy do brzegu, — rzecze tonem nieustraszonego żołnierza, — wystąpmy na którąkolwiek skałę i czekajmy dzikich. Niech mię Bóg broni, żebym ja sam, lub ktokolwiek co mi sprzyja, miał pokładać najmniejszą ufność w dobrej wierze Francuzów, albo ich stronników.

— Kto chce wyjsdź dobrze w sprawie z Indyanami, — odpowiedział Sokole Oko, — powinien złożyć uczucie szlachetnej dumy, a zdać się na doświadczenie ich ziomków. Skieruj się bardziej ku lądowi, Sagamorze; wyprzedzamy co raz więcej tych łotrów; ale mogą dać obrót, który nam poźniej narobi kłopotu.

Tak się i stało: Huronowie postrzegłszy że pilnując się linii prostej zostają daleko, zwrócili się nabok i wkrótce obie łódki płynęły równolegle, ledwo o sto sążni jedna od drugiej. Dopiero niejakoś pogoń

z ucieczką poszły na wyścigi. Huronowie zapewne dla tego nie dawali ognia, że byli zajęci wiosłami; lecz mieli przewagę w liczbie, a usiłowania ściganych nie mogły trwać długo. Dunkan zatrwożył się tém bardziej gdy postrzegł w tej chwili, że strzelec z niespokojnością oglądał się w około, jak gdyby szukał nowego sposobu przyśpieszenia lub zapewnienia ucieczki.

— Oddal się jeszcze cokolwiek od słońca, Sagamorze, — rzecze Sokole Oko, — widzisz ten łotr położył wiosło, zapewne żeby wziąść strzelbę, a jeden nasz członek raniony, mógłby nas o utratę włosów przyprawić. Jeszcze na lewo, Sagamorze, zasłońmy się tą wyspą od nich.

Ten wybieg udał się pomyślnie, bo kiedy łódka poszła lewą stroną wyspy długiej i pokrytej lasem, Huronowie chcąc utrzymać się w tymże samym kierunku, musieli wziąść się w poprzek na prawo. Strzelec i jego towarzysze skryci przed

okiem nieprzyjaciół podwoili usilność i tak już cudowną. Dwie współzawodnicze łódki ukazały się wreszcie na północnym końcu wyspy, jak dwa konie biegowe u kresu przegonów; lecz uciekający byli na przedzie, a Huronowie już nie w linii równoległej z nimi, ale z tyłu, chociaż w mniejszej odległości niż pierwej.

— Pokazałeś Unkas, że znasz się na łódkach, wybierając tę z pomiędzy wielu zostawionych od Huronów przy zwaliskach William Henryka, — rzecze strzelec uśmiechając się i bardziej rad z lepszości swojego czółna, niżeli z rodzącej się nadziei ujścia rąk barbarzyńców. Łotry muszą już tylko myśleć o wiosłach, a my kiedy nie ołowiem i prochem, to za pomocą płaskich kawałków drzewa ocalémy nasze włosy.

— Patrz, mają dać ognia,—zawołał Hejward w kilka chwil potém, — i ponie-

waż są w linii prostej, nie trudno będzie im trafić.

— Skryj się pan z półkownikiem w głąb łódki, — rzecze strzelec.

— Byłoby to zgorszeniem, gdybyśmy kryli się w chwili niebezpieczeństwa.

— Panie Boże!—zawołał Sokole Oko,— otożto odwaga białych! Ale równie jak wiele ich postępków nie zasadza się na rozsądku. Czy pan sądzisz że Sagamor, że Unkas, że ja sam nawet, człowiek krwi czystej, wahalibyśmy się szukać schronienia, kiedy wystawiać się nie masz potrzeby? A na cóż Francuzi otoczyli murami Kwebek, jeżeli należy zawsze walczyć w otwartém polu?

— Wszystko co mówisz, mój zacny przyjacielu, — odpowiedział Hejward, — może bydź prawda; ale zwyczaje nasze nie pozwalają nam usłuchać twojej rady.

Strzały Huronów przerwały tę rozmowę; a Hejward w tymże momencie kie-

dy kule swistały im koło uszu, postrzegł że Unkas obejrzał się na niego i na Munra, żeby zobaczyć co się z nimi stało. Mimo blizkość nieprzyjaciół i własne niebezpieczeństwo, młody wojownik nie miał na twarzy innego wyrazu, prócz zadziwienia że widział ludzi dobrowolnie i bez użytku narażających swe życie.

Szyngaszguk lepiej zapewne znał przesądy białych w tym względzie; bo nieokazując najmniejszego wzruszenia, jedynie był zajęty kierowaniem biegu łódki. Tymczasem jego wiosło w samym zamachu uderzone kulą, wyleciało mu z ręki i o kilka stop przed nim padło na jezioro. Okrzyk radości dał się słyszeć wsrzód Huronów śpieszących znowu broń nabijać; lecz Unkas zakreślił półkole po wodzie swoim wiosłem i przymknął czółno do ojcowskiego, a Sagamor chwyciwszy je, podniosł w górę z tryumfem wydając wojenny o-

krzyk Mihikanów i pośpieszył przysparzać pędu swej łódce.

— Wąż Wielki, Długi Karabin, Jeleń Rączy,—zawołano razem na nieprzyjacielskich łodziach i zdawało się że te imiona nowym zapałem podżegły dzikich. Strzelec nieprzestając prawą ręką silnie robić wiosłem, wziął swoję danielówkę w lewą, i jakby na wzgardę nieprzyjaciołom wstrząsł nią nad głową. Na to urągowisko Huronowie odpowiedzieli naprzód wyciem wściekłości, a wnet potém tłumem wystrzałów. Jedna tylko kula przeszyła brzeg czółna, inne niedaleko powpadały do wody. W chwili tak krytycznej, żadnego śladu wzruszenia nie można było dostrzedz na obu Mohikanach: twarze ich niewyrażały ani obawy ani nadziei; wiosła zdawały się jedynym przedmiotem ich myśli.

Sokole Oko obejrzał się na Hejwarda i rzekł do niego z uśmiechem:

— Uszy tych łotrów lubią huk ich bro-

ni; ale nie masz pośrzód Mingów ani jednego oka, coby potrafiło dobrze wziąść na cel, kiedy łódka kołysając się bieży po wodzie. Widzisz pan że te psy szatańskie nie mogli inaczej wziąść się za strzelby, aż musieli ująć rąk wiosłom, i rachując najmniej, nim oni dwie, my ubiegamy trzy stopy.

Hejward nie tyle biegły w wyrachowaniu względnej szybkości dwóch łódek, czuł się mniej zaspokojonym niż jego towarzysze; jednakże poznał wkrótce, że dzięki usiłowaniu i wprawie jednych, a pragnieniu krwi drugich, istotnie zyskali nieco odległości.

Huronowie dali ognia po raz trzeci, i jedna kula uderzyła wiosło strzelca o dwa cale od jego ręki.

— Wybornie! — rzecze Sokole Oko, obejrzawszy z uwagą znak zrobiony od kuli, — nie zniosłaby skóry ani dziecku, a tém bardziej któremu z ludzi zahartowanych

w trudach, jak my naprzykład. Teraz majorze, jeżeli zechcesz pobawić się tym wiosłem, moja danielówka będzie wdzięczna za wolną minutę do wdania się w rozmowę.

Dunkan przyjął wiosło i usilnością nagradzał niedostatek wprawy; a tymczasem strzelec podniosł z dna łódki swoję rusznicę, podsypał świeżego prochu i wziął na cel Hurona, który w tej chwili także zabierał się dać ognia. Równo ze strzałem Sokolego Oka, dziki padł na wznak i upuścił karabin do wody; a chociaż znowu powstał natychmiast, jego trzymanie się i ruchy pokazywały, że ciężko był raniony. Towarzysze rzuciwszy wiosła skupili się koło niego i trzy łodzie stanęły na miejscu.

Szyngaszguk i Unkas użyli tej chwili na wytchnienie, lecz Dunkan nie przestawał robić wiosłem z gorliwością jednostajną. Ojciec i syn spokojnie, ale z wyrazem czułej troskliwości spojrzeli jeden na drugiego chcąc zapewnić się wzajemnie, czy któ-

ry nie był raniony od Huronów; obadwa wiedzieli bowiem, że w podobnym razie żadenby z nich, najmniejszém syknieniem lub jękiem nie okazał bolu. Oczy Unkasa z niespokojnością wlepiły się na kilka kropel krwi płynących po ramieniu ojca. Sagamor postrzegłszy to zaczerpnął trochę wody dłonią i zmył ranę, tym tylko znakiem pokazując mu że kula ledwo zadrasnęła skórę.

— Zwolna, majorze, zwolna! — zawołał strzelęc nabiwszy swoję rusznicę — I tak już jesteśmy trochę dalej niż jakakolwiek strzelba dobrze uderzyć może. Widzisz pan, te łotry składają teraz radę, poczekajmy niech się na strzał przybliżą: można mi zaufać w tym razie. Poprowadzę ich przez cały Horykan trzymając w takiej odległości, że ręczę pana, ich kule nic nam nie zrobią, chyba siniak przypadkiem, a moja danielówka tym-

czasem w każdych trzech strzałach, pewno dwóch położy.

— Zapominasz co nas najwięcej zajmować powinno, — odpowiedział Hejward podnoszac wiosło z nowym zapałem. — Na miłość Boga, korzystajmy z czasu i zostawmy ich jak najdalej.

— Pamiętaj na moje dzieci! — zawołał Munro przytłumionym głosem i w rospaczy ojcowskiej. — Powróć mi moje dzieci!

Nałog ulegania rozkazom zwierzchności przydał strzelcowi cnotę posłuszeństwa. Spojrzawszy więc tylko z żalem na nieprzyjacielskie łodzie, położył strzelbę w czołnie i wyręczył Hejwarda ustającego na siłach. W kilka minut za staraniem jego i dwóch Mohikanów, Huronowie zostali tak daleko, że Hejward odetchnał wolniej i nawet zaczął cieszyć się nadzieją dojścia celu swych życzeń.

Jezioro w tem miejscu rozlewało się da-

leko szerzej; po za brzegu najbliższym ciągnęły się jeszcze wysokie i spadziste góry; lecz wyspy zdarzały się rzadko, i łatwo było je pomijać. Miarowe uderzenia wioseł następowały bezprzestanku, a wioślarze okazywali taką krew zimną, jak gdyby płynęli po gonitwach dla zabawy odbytych na wodzie.

Lubo potrzeba im było przybić do brzegu zachodniego, ostróżny Mohikan skierował łódkę ku tym skałom, za które, jak wiedziano, Montkalm poprowadził swoje wojska do nieprzystępnej twierdzy Tykondegory. Ponieważ Huronowie widocznie zaniechali dalszej pogoni, ostróżność ta mogła zdawać się zbyteczną; Szyngaszguk jednak ciągle trzymał się tego kierunku, i po wielu godzinach wpłynęli do małej zatoki w stronie północnej jeziora. Wędrowcy wysiedli na brzeg i łódkę wyciągnęli z wody. Sokole Oko z Hejwardem wstąpił na blizki pagórek i długi czas przeglądą-

jac gładkę powierzchnię Horykanu ile tylko wzrokiem mógł zasięgnąć, ukazał nakoniec towarzyszowi w odległości mil kilku u podnoża obszernego przylądku jakiś punkt czarniawy.

— Widzisz pan to? — rzecze; — i jeżeli widzisz, czy pańskie doświadczenie, albo wiadomość z książek nabyta, potrafiłyby powiedzieć panu, co to jest takiego, gdybyś sam musiał szukać drogi w pustyni?

— W takiej odległości wziąłbym to za jakiegoś ptaka wodnego, jeżeli ma to bydź stworzenie żywe.

Jestto porządna łódź z kory brzozowej, a w niej gromada przebiegłych i krwi naszej chciwych Mingów. Chociaż Opatrzność lepsze dała oczy mieszkańcom lasów, niżeli ludziom żyjącym po wsiach i miastach, gdzie mniej potrzeba dobrego wzroku; żaden dziki jednak nie ma tyle przezorności, żeby mógł postrzedz wszystkie

niebezpieczeństwa, jakie grożą nam teraz. Łotry, zdaje się że tylko myślą o wieczerzy; ale niech słońce zajdzie, zaraz ruszą w trop za nami jak najlepsze gończe. Trzeba skluczyć przed nimi; inaczej wyprawa nasza w łeb weźmie, a Lis Chytry ujdzie szczęśliwie. Jezioro pomaga czasami, szczególniej kiedy chodzi o to żeby zwierza ostąpić, — dodał strzelec oglądając się z niespokojnością niejakąś; — ale prócz ryb nie może ukryć nikogo. Bóg święty wie, w coby się kraj obrócił, gdyby osady białych rozciągnęły się za dwie rzeki. Polowanie i wojna straciłyby cały swój powab.

— Prawda, prawda; ale bez koniecznej potrzeby nieopóźniajmy się ani chwili.

— Nie bardzo mi się podoba ten dym, co tam wznosi się powoli nad skałą, widzisz pan, dalej za łódką. Ręczę że nie nasze tylko oczy widzą go i wiedzą, co

znaczy. Ale słowa nic nie pomogą; trzeba pomyślić i robić.

Sokole Oko w głębokiem zadumaniu zszedł z pagórka i przybywszy do towarzyszów pozostałych na brzegu, zdał sprawę ze swoich postrzeżeń, w języku delawarskim. Nastąpiła krótka i ważna narada, a potém wykonano ułożony zamiar.

Podróżni wziąwszy na barki czółno, udali się wgłąb lasu umyślnie zostawując wyraźne ślady po sobie, przebyli małą rzeczkę i przyszli do skały tak nagiej i twardej, iż jeśliby kto ich ścigał, nigdyby na niej nie spodziewał się znaleść jakiegokolwiek znaku ich przechodu. Ztąd wrócili znowu aż do rzeczki cofając się w tył swojemi śladami, rzucili łódkę na wodę, siedli do niej i puściwszy się z biegiem strumienia, przy jego ujściu wypłynęli na Horykan. Szczęściem skała znacznie wydatna nie pozwalała widzieć tego miejsca z przylądku gdzie popasywali Huronowie;

a ponieważ łas przytykał aż do jeziora, mogli niepostrzeżeni zdaleka, płynąć po za brzegu.

Kiedy zaś drzewa zaczęły się przerzadzać, strzelec radził znowu wylądować.

Dopiero o zmroku rozpoczęli dalszą żeglugę i korzystając z ciemności udali się w najgłębszém milczeniu prosto do zachodniego brzegu. Nadbrzeżne góry w tej stronie zdawały się ciągłą, niezmiernie wysoką ścianą; Szyngaszguk jednak postrzegł maleńką przystań i ze zręcznością wprawnego sternika wbiegł do niej.

Łódkę znowu wyciągnięto z wody, przeniesiono do lasu i schowano między gęstym chróstem. Każdy wziął swoje broń i część zapasów, a strzelec oświadczył oficerom, że równie jak jego dwaj towarzysze, gotów już był zająć się dalszém szukaniem.

ROZDZIAŁ IV.

„Gdyby i był tam człowiek jaki, to zginie jak mucha.“

Szekspir.

Wędrowcy nasi weszli na ziemię tej krainy, co dzisiaj nawet mniej jest znajoma mieszkańcom Stanów Zjednoczonych, niż pustynie arabskie albo stepy tatarskie. Niepłodna tą i górzysta okolica oddziela wody hołdownicze Szamplenu, od wpadających do Hudsonu, Mohawku i rzeki Świętego Wawrzyńca. Od czasu zdarzeń, które tu opisujemy, duch czynności otoczył ten zakąt pasmem bogatych i kwitnących osad; lecz dotąd jeszcze nikt prócz Indyan i myśliwych nie zwiedza dzikich jego ustroni.

Sokole Oko i dwaj Mohikanie, którzy nie raz przechodzili góry i padoły tej rozległej pustyni, śmiało puścili się w głąb puszczy, jako ludzie zahartowani na wszelkie niewczasy. Wiele godzin szli oni za przewodnictwem tej lub owej gwiazdy, albo pilnując się biegu jakiego strumyka; nakoniec strzelec wniosł, żeby wypocząć i po krótkiej naradzie z Indyanami, wszyscy trzej rozłożywszy ogień zaczęli czynić swoje zwyczajne przygotowania do noclegu.

Idąc za przykładem towarzyszów doświadczeńszych w tym względzie, Munro i Dunkan zasnęli jeśli nie zupełnie spokojni, to przynajmniej bez wielkiej obawy. Słońce rozpędziwszy mgły, żywym już blaskiem oświecało lasy, kiedy podróżni nazajutrz w dalszą ruszali drogę.

Uszedłszy mil kilka, Sokole Oko zawsze będący na czele wyprawy, zaczął postępować powolniej i z większą uwagą. Często zatrzymywał się i oglądał krzak albo

drzewo jakie, a żadnego nie pominął strumyka, nie zastanowiwszy się wprzód, nad jego biegiem, głębokością, i nawet nad kolorem wody. Nie polegając na własném zdaniu, nie raz zapytywał Szyngaszguka i miewał z nim krótkie spory. Podczas ostatniej ich narady, Hejward widząc że Unkas chociaż zgoła nie wdawał się w rozmowę, słuchał jej z ciekawością, uczuł wielką chętkę zapytać go, jak wiele przecież zbliżyli się już do celu podróży; lecz dał temu pokoj wnet pomyśliwszy, że zapewne młody Indyanin podobnież jak on sam, spuszczał się zupełnie na przezorność swojego Ojca i Sokolego Oka. Tymczasem Unkas sam przemówił do niego i wytłumaczył w jakim byli kłopocie.

— Kiedy postrzegłem,—rzecze,—że ślady Magui szły na północ; można było natenczas bez mądrości wielu lat, uczynić wniosek, że pójdzie on dolinami i będzie się trzymał między Hudsonem a Horyka-

nem, aż do rzek Kanady, które poprowadzą go we wnątrz kraju zajętego przez Francuzów. Lecz oto jesteśmy już blizko Skarunu, a jeszcze nieznaleźliśmy żadnego znaku jego przechodu. Przyrodzenie ludzkie ulega mylności, i bydź może, że nie wpadliśmy na trop prawdziwy.

— Niech nas Bóg strzeże od takiej pomyłki! — zawołał Dunkan. — Wracajmy więc nazad i pilniej jeszcze przetrząśmy okolice. A Unkas, czy nic nam nie może poradzić w tak ciężkim razie?

Młody Mohikan szybko spojrzał na ojca, lecz wnet znowu przybrał swoję uważną postawę i milczał. Szyngaszguk postrzegłszy to spojrzenie, dał mu znak ręką, że może mówić.

Skoro tylko Unkas otrzymał to pozwolenie, na jego twarzy tak spokojnej dotąd, nagle zajaśniała radość i przenikliwość. Podskakując lekko jak daniel, pobiegł naprzód i o sto kroków zatrzymał się z try-

umfem u małego wzgórza, gdzie ziemia była nagabnięta jakby od nóg zwierzęcia jakiego. Wszystkich oczy baczne na każdy ruch młodego Indyanina, z jego ożywionej i pełnej zadowolenia postawy, powzięły wróżbę pomyślną.

— To ich ślady!—zawołał strzelec zbliżywszy się do Unkasa;—ten chłopiec ma roztropność i trafność wzroku nad swoje lata.

— Dziwna rzecz, czemu on nam pierwej już nie objawił swojego odkrycia,—rzecze Dunkan.

— Dziwniejsza byłaby, gdyby bez pozwolenia przemówił,—odpowiedział Sokole Oko.—O nie, nie; państwa młodzieńcy biali ucząc się wszystkiego z książek; mogą myśleć że ich wiadomości, równie jak ich nogi postępują prędzej od ojcowskich; ale Indyanin młody, który nie ma

innych nauk prócz doświadczenia, zna cenę wieku i umie szanować starość.

— Patrzcie! — rzecze Unkas pokazując na ziemi kilka śladów nóg rozmaitych, — wszystkie obrócone ku północy; Czarna Kosa idzie w stronę zimna.

— Nigdy żaden gończy nie znalazł piękniejszego tropu, — rzecze strzelec idąc już w kierunku znaków odkrytych. — Opatrzność łaskawa na nas, bardzo łaskawa; możemy teraz ścigać ich zadarłszy nos do góry. O! znowu kopyta koni, co mają chód tak dziwny. Ten Huron odbywa podróż jak jaki jenerał biały! Jakiś szał i oślepienie przyszły na niego! Spojrzyj, Sagamorze, — dodał ze śmiechem odwracając się do Mohikana, — spojrzyj, czy nie masz tu gdzie toru kół, bo mnie się zdaje, że ten opętaniec nie zadługo w karecie jeździć zacznie, i to kiedy go śledzą najlepsze oczy z całego kraju.

Ukontentowanie strzelca, radosny zapał

Unkasa, wyraz przyjemnej spokojności na twarzy jego ojca, i traf szczęśliwy po czterdziestu milach drogi mianej już prawie za daremną; to wszystko ożywiło nadzieję Munra i Hejwarda. Szli krokiem sporym i z taką pewnością, jak gdyby ich prowadził gościniec bity. Jeżeli gdzie skała, krynica, lub ziemia twardsza, przerywała ciągłe pasma sladów, wprawne oczy strzelca, albo którego Mohikana, wnet znowu postrzegały jakikolwiek znak nie daleko, i nigdy nie mieli potrzeby zatrzymać się więcej nad chwilę. Powzięta pewność przytém, że Magua obrał sobie drogę przez doliny, wyprowadziła ich ze wszelkiej wątpliwości względem kierunku ich pogoni.

Lis Chytry jednak nie zupełnie zaniechał wybiegów, jakich Indyanie zwyczajnie używają kiedy uchodzą przed nieprzyjacielem. Fałszywe ślady zdarzały się prawie wszędzie, gdzie tylko strumyk jaki, albo położenie miejsca, do zostawienia ich

podawały zręczność. Lecz nie tacy ludzie szli za nim, żeby podobne pozory mogły ich złudzić, a jeżeli czasami i trafiało się im zboczyć, wnet postrzegli pomyłkę i nigdy wiele drogi nie uszli napróżno.

Pod wieczor przeprawili się przez Skarun i zmierzali dalej ku słońcu zniżonemu już do ziemi. Przebywszy wązką dolinę skropioną małym strumykiem znaleźli miejsce, gdzie widocznie Lis popasywał ze swoimi niewolnikami. Niedopalone drewna leżały na wysmalinie wielkiego ogniska; niedaleko walały się jeszcze resztki daniela, a koło dwóch drzew trawa poścината nizko, pokazywała że konie były tu przywiązane. Hejward postrzegłszy pod gałęźmi bujniego krzaku darń ugniecioną z lekka, wlepił w nię oczy z uczuciem, wyobrażaiąc sobie że Alina i Kora szukały tu wypoczynku. Lecz chociaż pełno było śladów i końskich i ludzkich, te o-

statnie jednak ginęły nagle w pewnym obrębie i nie prowadziły nigdzie.

Znaki kopyt można było napotykać dalej, ale zdawało się że konie zostawione same sobie, błądziły samopas szukając obfitszego pastwiska. Nakoniec Unkas znalazł świeże ich slady i ukazał je towarzyszom, a kiedy ci zastanawiali się jeszcze nad tak szczególném wydarzeniem, młody Indyanin przyprowadził już i same konie. Siodła, czapraki, rzędy, wszystko tak było popsute i zwalane, jak gdyby od kilku dni bez dozoru włóczyły się po lesie.

—Co to ma znaczyć? — zapytał Hejward bledniejąc i z drżeniem poglądając w koło, jak gdyby lękał się żeby mu krzaki i zarośle nie odkryły zaraz strasznej tajemnicy jakiej.

— To znaczy że jesteśmy prawie u kresu podróży i na ziemi nieprzyjacielskiej,— odpowiedział strzelec.—Gdyby zbójca był nacierany zblizka, a panienki nie miały

koni i nie mogły zdążyć z nim w ucieczce, nie ręczę natenczas, możeby tylko ich warkocze uniosł z sobą; ale niespodziewając się nieprzyjaciół mieć na karku, i mając tak dobre wierzchowce, upewniam pana, że ani włosa nie zdjął im z głowy. Przenikam pańskie myśli, majorze, i to wstyd dla naszej farby, że pan jesteś usposobiony tak pomyślić; nie, nie, ten kto sądzi iż Mingo nawet skrzywdziłby kobietą będącą w jego mocy; nie mowię uderzeniem tomahawku, ten nie zna natury Indyan i życia ich w lasach. Ale, jak słyszałem, dzicy przyjaciele Francuzów, wybrali się polować w tych ostępach na łosia; kiedy tak, niedaleko musiemy bydź od ich obozu. I czemużby nie mieli tu polować? Czego się mają obawiać? Każdego dnia rano i wieczor rozlega się po tych górach huk dział z warowni Ty; bo Francuzi nowy już szereg twierdz budują między prowincyami królewskiemi a Kanadą. Jakkolwiek bądź,

oto jest para koni; lecz co się stało z tymi, co je prowadzili? Potrzeba koniecznie znaleść ich ślady.

Sokole Oko i dwaj Mohikanie szczerze wzięli się do szukania. Zakreśliwszy sobie myślą obwod na kilkaset kroków koło miejsca gdzie popasywał Magua, podzielili go na łuki i każdy z nich poszedł obejrzeć swój wydział. Nic to nie pomogło jednak; śladów było pełno, lecz zdawało się, że ci co je zostawili, chodzili tu i owdzie bez zamiaru wydalenia się w którąkolwiek stronę. Wszyscy trzej potém wspólnie obeszli cały okręg i znowu powrócili do dwóch towarzyszów zostawionych w srzodku, nieznalazłsy najmniejszego znaku wyboczenia.

— To sam djabeł podszepnął im taki wybieg! — rzecze strzelec zmięszany nieco.— Trzeba Sagamorze jeszcze raz pójśdź szukać i przeglądać każdy cal ziemi. Nie można pozwolić, żeby ten pies Huron, chwa-

lił się przed swoimi, że ma taką nogę, co żadnych niezostawuje śladów.

Po tych słowach sam pierwszy dał przykład i wszyscy trzej nową zagrzani gorliwością, nie pominęli żadnego kamyka, żadnej gałązki suchej, żadnego liścia prawie, nieobejrzawszy miejsca ukrytego pod niemi; wiedzieli bowiem, że chytrość i cierpliwość Indyanina dochodziła niekiedy do tego stopnia, iż zatrzymując się na każdym kroku nie stąpił dalej, póki zrobionego śladu nie zatarł. Mimo tak pilne szperanie niezdołali jednak odkryć niczego.

Nakoniec Unkas ze zwyczajną sobie czynnością przeszedłszy swój wydział, umyślił zrobić z kamieni i darnia groblę w poprzek strumyka płynącego tędy. Zatrzymana woda utworzyła sobie nowe koryto, a dawne osuszone zostało. Młody Indyanin zaczął przypatrywać się schylony i wykrzyknik hug! wnet oznajmił jakieś odkrycie. Natychmiast towarzysze

przybiegli do niego; a on pokazał im na piaszczystém i wilgotném dnie strumyka, liczne ślady mokkasinów bardzo wyaraźne lecz wszystkie jednakowe.

— Ten chłopiec będzie chlubą swojego narodu!— zawołał strzelec przypatrując się stopom wyciśniętym na mule, z takiém zachwyceniem, z jakiémby naturalista oglądał kości mamuta albo zabytki krakena; — tak, i będzie ośc.ą w gardle Huronóm. Jednakże to nie Indyjska noga zostawiła te ślady: pięty zbyt głęboko wyryte, a przytém stopa tak szeroka, tak kwadratowa w palcach. . . . . Ach! Unkas, zbiegaj przynieś mnie miarę nogi śpiewaka; tam pod tą skałą znajdziesz wyborny jej wycisk.

Nim młody Mohikan wypełnił ten rozkaz, jego ojciec i Sokole Oko ciągle przyglądali się śladom, a skoro powrócił i miara przypadła zupełnie, strzelec dał stanowczy wyrok, że to były tropy Dawida.

— Teraz już wiem wszystko, — dodał nakoniec, — jak gdybym sam naradzał się z Maguą. Ponieważ tyko gardło i nogi śpiewaka mają swoje zalety, włożono mu jeszcze raz mokkasiny i kazano isdź naprzód, a ci co szli za nim, starali się stąpać w jego ślady. Nie było to nic trudnego, bo woda czysta i niegłęboka.

— Ale ja niepostrzegam, — zawołał Dunkan, — żadnego śladu coby pokazywał że . . .

— Że panienki szły tędy? — rzecze strzelec. — Łotr wymyślił pewno jakikolwiek sposób przeniesienia ich aż na miejsce, gdzie sądził się już wolnym od ostrożności. Ręczę że niedaleko znajdziemy ślady ładnych ich nóżek.

Ruszyli dalej i ciągle mieli przed oczyma jednakowe znaki mokkasinów na dnie strumyka. Woda nabiegła wkrótce do pierwiastkowego koryta; lecz zapewnieni w którą stronę udał się Huron, szli po

za brzegu upatrując miejsca, gdzieby wyboczył na suchą ziemię.

Prawie o pół mili od grobli Unkasa, strumyk jednym zakrętem dotykał wielkiej i zupełnie nagiej skały. Wędrowcy nasi w wątpliwości, czy Lis ze swoim orszakiem pobrnął jeszcze dalej, czy zwrócił się w bok na miejsce gdzie noga żadnego znaku uczynić nie mogła, zatrzymali się dla narady.

Wyszło to im na dobre, bo kiedy Szyngaszguk z Sokolim Okiem rozprawiali jak bydź mogło, Unkas tymczasem śledząc jak było, postrzegł kępinkę mchu zdeptaną zapewne przez nieuwagę, a zobaczywszy że stopa Indyanina była palcami zwrócona do lasu, pobiegł tam natychmiast i znalazł wszystkie ślady tak wyraźne, tak rozmaite, jak te co dawały się widzieć koło stanowiska Magui. Znowu hug! oznajmiło towarzyszom odkrycie i położyło koniec naradzie.

— No, no! — rzecze strzelec, — znaczno że dowcip indyjski ułożył to wszystko; i byłoby tego dosyć na zamydlenie oczu ludziom białym.

— Idziemyż dalej? — zapytał Hejward.

— Powoli, powoli! — odpowiedział Sokole Oko. — wiemy już drogę, ale nie zaszkodzi zgruntu rozebrać rzeczy. Taka jest moja maxyma, majorze: nietrzeba nigdy opuszcać zręczności do wyczytania czegoś z tej książki, lepszej od wszystkich pańskich, którą nam Opatrzność otwiera. Wszystko już jasno moim oczom wyjąwszy to jedno tylko, jakim sposobem ten łotr potrafił przeprowadzić dwie panienki od zrzódła strumyka aż do skały, kiedy wyznać muszę, że Huron nawet miałby sobie za hańbę kazać im brnąć przez wodę.

— A to, czy nie pomoże ci do rozwiązania tej trudności? — zapytał Hejward pokazując mu kilka gałęzi świeżo urznię-

tych, i sploty giętkich latorośli walających się przy nich na brzegu lasu.

— To to jest właśnie! — zawołał strzelec z miną uradowaną; — teraz nie brakuje nam niczego. Zrobili oni lektykę niby, albo kratę nakształt półkosza, i rzucili potém skoro nie była im potrzebna. Wszystko się wyjaśniło; ale poszedłbym o zakład, że nie mało sobie nałamali głowy, nim wymyślili wszystkie te sposoby ukrycia swojej drogi; widziałem przynajmniej Indyan cały dzień pracujących nad tém, i nie z lepszym skutkiem. No, otoż mamy tutaj trzy pary mokkasinów i dwie pary malutkich trzewiczków. Czyliż nie dziwna rzecz, że słabe stworzenia utrzymują się na tak szczupłych nogach? Unkas, podaj mnie swój pasek rzemienny, muszę zmierzyć mniejszą, tej co ma świałe włosy. Jak Boga kocham! wszakto stopa ośmioletniego dziecka; a jednak obie panienki dosyć są wysokie i dobrze zbudo-

wane. Trzeba powiedzieć, i ten z pomiędzy nas co jest najlepiej obdarzony i najbardziej rad ze swojego udziału, musi przystać na to, że Opatrzność bywa czasami nie słuszna w rozdzielaniu swych darów ale zapewne ma ona w tém przyczynę.

— Moje biedne córki niewytrzymają takich trudów! — zawołał Munro z czułością ojcowską poglądając na ich ślady. — Umrą z wycieńczenia gdziekolwiek w tych pustyniach!

— Nie, nie, — rzecze strzelec zwolna wzruszając głową, — tego się nie masz co obawiać. Łatwo można tu widzieć, że chociaż krok drobny, ale chód pewny i noga lekka. Patrz pan na ten ślad; pięta ledwo dotknęła się ziemi; a oto tu Czarna Kosa przeskoczyła wywrót drzewa. Nie, ile sądzić w tém mogę; ani jedna, ani druga dla braku sił nie zostanie na drodze. Co do śpiewaka, to rzecz inna; zaczynał już czuć ból w nogach i ustawać nie żar-

tem. Widzicie państwo jak się potykał, jakie stąpanie ciężkie i niepewne. Możnaby powiedzieć że szedł w berlaczach. Tak, tak, kto myśli o gardle, ten nie dobrze trzyma się na nogach.

Przez takie to rozumowania doświadczony strzelec prawie z cudowną trafnością zawsze dochodził prawdy. Munro i Hejward widząc jego spokojność, odzyskali nadzieję i pokrzepieni zapewnieniem opartém na równie prostych jak naturalnych wnioskach, zgodzili się wypocząć i wziąść posiłek.

Skoro przekąszono trochę naprędce, Sokole Oko rzucił wzrok ku zniżonemu słońcu i ruszył w dalszą drogę tak śpiesznym krokiem, że półkownik i major ledwo mogli zdążyć za nim.

Ponieważ Huron nie widział potrzeby czynić więcej ostróżności, wędrowcy nasi szli wciąż po za strumyku bez żadnego zamitrężenia i przestanku. Jednak nim

upłynęła godzina, Sokole Oko zwolnił bieg znacznie, nie szedł już tak śmiało, i ciągle oglądał się to w lewo, to w prawo, jak gdyby miał podejrzenie, że jakieś niebezpieczeństwo może ich spotkać. Stanął nakoniec i zaczekał na resztę towarzyszów.

— Czuję ja Huronów, — rzecze do Mohikanów; — niebo świeci się tam pomiędzy drzewami; musi to bydź obszerne pole w lesie, i łotry mogli na niém założyć swój oboz. Idź Sagamorze tą górą po lewej stronie, Unkas będzie się trzymał wzgorków otaczających strumyk, a ja pojdę tropem. Kto postrzeże cokolwiek, odezwie się trzy razy głosem kruka. Całe stado ich ulatuje nad tym suchym dębem, i to jeszcze znak, że oboz Indyan jest tu gdzieś niedaleko.

Mohikanie rozeszli się nieodpowiedziawszy mu ani słowa, a strzelec z dwóma oficerami ruszył naprzód. Hejward niecierpliwy zobaczyć czém prędzej nieprzy-

jaciół ściganych z takim trudem i niespokojnością, podwoił kroku żeby isdź obok przewodnika. Lecz wkrótce towarzysz kazał jemu zboczyć do lasu zarosłego gęstym chrustem i czekać póki sam niepowróci. Dunkan usłuchał i wstąpił na wzgórze, skąd odkryło się mu równie nowe jak dziwne widowisko.

Drzewa na rozległą przestrzeń były wycięte wszystkie, a blask pięknego zachodu słońca w tej trzebieży wydawał się jeszcze świetniejszy, obok posępnego mroku jaki zawsze panuje we wnątrz puszczy. Nie zbyt daleko od miejsca gdzie Dunkan znajdował się natenczas, w wązkiej dolinie między dwóma gorami strumyk tworzył małe jeziorko i upływał dalej spadając cicho przez tak gładką zaporę, jak gdyby to była grobla ręką ludzką zrobiona. Wiele set szczupłych mieszkań bitych z ziemi wznosiło się na brzegach stawu, a niektóre nawet wyglądały z wody zajęte za-

pewne nadzwyczajnym rozlewem. Okrągławe dachy wybornie opatrzone przeciw zmianom powietrza, okazywały więcej staranności i przemysłu, niżeli można postrzegać we wszystkich budach krajowców dzikich, zwłaszcza kiedy te mają im służyć za przytułek doczesny na porę polowania lub rybołówstwa. Takie przynajmniej było zdanie Dunkana.

Kilka minut przypatrując się temu widokowi, postrzegł jednym razem tłum ludzi, jak się mu zdawało idących rakiem i ciągnących za sobą cóś ciężkiego, zapewne jakieś niewiadome jemu narzędzie wojenne. W tejże chwili wiele głów czarniawych ukazało się u wchodu do kilku mieszkań i zaraz brzegi jeziora pokryły się mnóstwem istot snujących się tu i ówdzie, a chociaż chód ich był czworonożny, tak jednak szybko kryły się to za drzewa to pomiędzy swoje chatki, że nie

mógł dostrzedz ani rodzaju ani zamiaru ich zatrudnienia.

Zatrwożony tym podejrzanym i niepojętym obrótem, chciał przywołać towarzyszów i możeby już sprobował naśladować głos kruka, gdyby mu nie przeszkodził jakiś szelest w krzakach. Zwróciwszy nagle głowę w tę stronę postrzegł Indyanina i ze drżeniem cofnął się mimowolnie. Zamiast jednak krakania, które pewno źle naśladowane, mogłoby prędzej ściągnąć niebezpieczeństwo niż pomoc, utaił się za krzakiem i nieporuszony, pilnie uważał kroki niespodziewanego przychodnia.

Chwila uwagi zapewniła go że nie był postrzeżony. Indyanin podobnie jak on sam pierwej, zdawał się cały zajęty przypatrywaniem się chatkom z okrągłemi dachami i ich mieszkańcom. Pod maską dziwacznego malowidła, nie można było rozpoznać wyrazu jego twarzy; bardziej jednak dawała się w niej widzieć melancholia jakaś,

niżeli dzikość. Włosy miał ogolone swoim zwyczajem, a na wierzchołku głowy dwa lub trzy wytarte pióra sokole wplecione w czub niewielki. Kawał poszarpanego już kalikotu, ledwo przykrywał wyższą część jego ciała, niższą zaś osłaniała koszula rękawami włożona na lędzwie. Łytki i golenie były nagie i poszarpane od cierni, lecz stopy obute w parę porządnych mokkasinów z niedźwiedziej skóry. W ogólności cała powierzchowność wyobrażała nędzę.

Dunkan ciekawie jeszcze przyglądał się temu człowiekowi, kiedy strzelec ostróżnie i cicho przyszedł do niego.

—Widzisz,—rzecze major jak najciszej— jesteśmy blizko ich osady czy obozu, a o to i jeden dziki, który podobno może nam bydź na przeszkodzie.

Sokole Oko zadrżał i bez szmeru podniosł strzelbę wlepiając oczy w miejsce, gdzie Hejward ukazywał mu palcem. Wy-

ciągnął potém szyję jak gdyby lepiej jeszcze chciał widzieć, i popatrzywszy chwilę na tę podejrzaną osobę, opuścił znowu rusznicę.

— To nie jest Huron, — rzecze, — i nawet nie należy do żadnego z pokoleń Kanadyjskich. Jednak, widzisz pan, odzienie pokazuje że obdarł białego. Tak, tak, ten Montkalm po wszystkich lasach zbierał dzikich na swoję wyprawę i nawerbował łotrów każdego gatunku. Ale on nie ma ani tomahawku, ani noża! Czy wiesz pan gdzíe on swój łuk, albo strzelbę położył?

— Ja żadnej broni niewidziałem przy nim, — odpowiedział major; — i zdaje się ze wszystkiego, że on nie ma krwawych zamiarów. Tyle nam tylko jest niebezpieczny, że może zwołać swoich towarzyszów, co tam, jak widzisz, czając się pełzają po brzegu jeziorka.

Strzelec spojrzał Hejwardowi w oczy i z otwartą gębą stanął w podziwieniu, któ-

rego opisać niepodobna. Po chwili nakoniec rozsmiał się serdecznie, lecz tak cicho, że najmniejszego głosu nie było słychać: szczególny śmiech ten jemu właściwy był skutkiem nałogu ostróżności.

— Swoich towarzyszów co tam pełzają po brzegu jeziorka! — powtórzył; — otoż to jaka korzyść połowę życia chodzić do szkół, cały wiek czytać książki, i nigdy nie wydalać się za osady ludzi białych. Jakkolwiek bądź, ten łotr ma długie nogi i nie można mu dowierzać. W przypadku groź mu swoją strzelbą, majorze, a ja tymczasem dam koło, i bez zadraśnienia skóry schwytam go z tyłu. Ale nie strzelaj pan cokolwiekby się zdarzyło.

— Jeślibym widział ciebie w niebezpieczeństwie, — rzecze Hejward, — czy w takim razie....

Sokole Oko przerwał mu znowu wydając swój śmiech cichy i spojrzał na niego

jak gdyby sam nie wiedział co miał odpowiedzieć.

— W takim razie, — rzekł nakoniec, — ogień plutonem, majorze.

Strzelec wnet zniknął miedzy krzakami, a Dunkan czekał z niecierpliwością żeby się mu znowu pokazał, lecz dopiero ledwo po wielu minutach ujrzał go jak węża śliznącego się płazem. Kiedy już był o kilka kroków od Indyanina, powstał zwolna i bez najmniejszego szelestu. W tejże chwili wody jeziorka zawrzały z łoskotem i Hejward rzuciwszy szybkie spojrzenie w tę stronę, postrzegł że ze sto stworzeń, które takiego nabawiły go strachu, ponurzyło się razem.

Chwyciwszy strzelbę, znowu zwrócił oczy na Inydanina: ten zamiast strwożenia się wyciągnął szyję ku jeziorowi i patrzał z niejakąś ciekawością głupowatą. Sokole Oko już był podniósł groźną swą rękę, lecz nie wiadomo dla czego nagle ją opu-

ścił, jeszcze raz rozsmiał się cicho swoim sposobem, i zamiast tego co miał nieprzyjaciela chwycić za gardło, uderzając tylko z lekka po ramieniu rzekł do niego:

— Cóż to, przyjacielu, czy nie bobrów myślisz uczyć spiewać?

— A dla czegoż nie? — odpowiedział Dawid. — Ten co im dał tyle zmysłu i dziwnych zdolności, możeby nieodmówił i głosu, aby śpiewały na chwałę jego.

ROZDZIAŁ V.

— „Jesteśmyż tu wszyscy?
— Jesteśmy; i oto wyborne miejsce do odbycia naszej próby.“
Szekspir. (Sen letniej nocy.)

Czytelnik lepiej sobie potrafi wyobrazić, niżeli my możemy opisać zadziwienie Hejwarda. Oboz Indyan, co go tak zastraszał, przemienił się w stado bobrów; jezioro pokazało się tylko stawem utworzonym przez długą pracę tych zwierząt; wodospad czyli upust także skutkiem ich wrodzonego przemysłu, a pod postacią dzikiego, który tyle nabawił go niespokojności, poznał dawnego towarzysza Dawida Gammę. Niespodziewane znalezienie psalmisty

sprawiło Hejwardowi tak dobrą otuchę, iż pełen nadziei że wkrótce i szukane siostry zobaczy, wyskoczywszy ze swojej zasadzki pobiegł do dwóch naczelnych aktorów tej sceny.

Sokole Oko jeszcze w wesołym humorze, bez ceremonii obracał Dawida na piętach i oglądając go ze wszech stron, przysięgał że cały jego ubior czynił wielką zaletę gustowi Huronów. Wziął go potém za rękę i winszując ślicznej przemiany ścisnął tak mocno, że aż poczciwemu Gammie łzy w oczach stanęły.

— To więc tedy zabierałeś się uczyć bobrów pieśni pobożnych, — rzecze nakoniec do niego; — nie prawdaż? Chytre te zwierzęta i tak już posiadają część twojej sztuki: widziałeś jak umieją ogonami takt wybijać. Pouurzyły się jednak jak w porę; bo wielkie miałem nagabanie pokazać im ton mojej danielówki. Widziałem ja wielu ludzi mniej roztropnych od bobrów,

chociaż umiejących czytać i pisać; ale co się tyczy śpiewania, biedne stworzenia rodzą się nieme. A co powiesz o tej piosence, naprzykład?

Przy tém zapytaniu powtórzył trzy razy głos kruka. Dawid obiema rękoma zatknął delikatne swe uszy, a Hejward, chociaż wiedział że to było umówione hasło, mimowolnie spojrzał w górę, czy nie przelatywał który z tych ptaków.

— Widzisz,—mówił dalej Sokole Oko ukazując Mohikanów na dany znak przychodzących z dwóch stron przeciwnych;—ta muzyka ma własność szczególną: sprowadza ona do mnie dwie porządne strzelby, nie wspominam już o tomahawkach i nożach. No dobrze, przyjacielu, widziemy że tobie nic nie przytrafiło się złego; ale powiedz nam, gdzie się obracają dwie panienki?

— Są one w niewoli pogańskiej,—odpowiedział Dawid;—lecz chociaż strapione na

umyśle, zupełnie bezpieczne na ciele.

— Obie? — zapytał Hejward ledwo zdolny oddychać.

— Obie, — powtórzył Dawid. — Podróż nasza była mordująca, posiłek bardzo oszczędny, ale nie doświadczyliśmy innego gwałtu, prócz tylko że zmuszono nas isdź w dalekie kraje.

— Niechaj cię niebo nagrodzi za pociechę jaką mi twoje słowa przynoszą! — zawołał Munro z mocném wzruszeniem; — moje kochane córki będą mi wrócone tak czyste, tak niewinne, jak były porwane!

— Wątpię, azali już przyszła godzina ich wybawienia, — odpowiedział Dawid. — Wódz dzikich jest opętany od złego ducha, którego chyba tylko moc Bozka pokonać potrafi. Ja używałem już wszystkich sposobów, lecz ani harmonija głosu, ani dzielność słów, nic może zmiękczyć jego duszy.

— Gdzie jest ten łotr? — porywczo zapytał strzelec.

— Poluje dziś na łosia ze zgrają swoich wojowników młodych; a jutro, jak słyszałem, mamy dalej pójśdź na puszczę i zbliżyć się do granic Kanady. Starsza siostra mieszka u sąsiedniego pokolenia, tam za tą czarną skałą; młódsza zostaje pod strażą niewiast hurońskich w ich obozie, stąd o dwie letkie mile, na płaszczyźnie jednego wzgórza, gdzie płomień wyręczając siekierę wyniszczył znaczą przestrzeń lasu.

— Alina! moja biedna Alina! — zawołał Hejward, — straciła więc nawet i tę pociechę, bydź razem z siostrą!

— Straciła, ale miała inną, jaką strapionemu umysłowi przynosi melodya pieśni świętych.

— Co? — zawołał Sokole Oko; — ona zaś miałaby upodobanie słuchać twojej muzyki!

— Muzyki poważnej i uroczystej, —

dodał psalmista; — chociaż wyznać muszę, że mimo wszelką usilność rozerwania jej w smutku, częściej łzy niżeli uśmiech widzę na jej twarzy. W takim razie przerywam melodyą pienia mojego; lecz są szczęśliwsze momenta i wielką mam osłodę, kiedy gromady dzikich zbierają się koło mnie słuchać jak wzywam łaski niebieskiej.

— Ale jak się to dzieje, że chodzisz wolny, że cię nie pilnują? — zapytał Hejward.

— Niech to niebędzie brane za chlubę dla mnie lichego robaka, — odpowiedział Gamma przybierając na się minę najgłębszej pokory; — gdy powiem, że moc psalmów, chociaż była zawieszona kiedyśmy przebiegali straszną dolinę rzezi, czyni jednak swój skutek nawet na umysłach pogan, i dla tego wolno mi chodzić, gdzie się podoba.

Sokole Oko rozśmiał się i przytknąwszy palec do czoła, spojrzał na majora z pe-

wném znaczeniem, a wnet lepiej podobno myśl swoję wytłumaczył dodając: — Nigdy Indyanin nie skrzywdzi tego, komu tu niedostaje. Ale powiedz mi przyjacielu, dla czegoż, kiedy droga otwarta przed tobą, nie poszedłeś napowrót swoim śladem? Wszak to znak widoczniejszy od tropu wiewiórki. Dla czego nie śpieszyłeś z uwiadomieniem do twierdzy Edwarda?

Strzelec miarkując po swoich siłach i wprawie do postrzegania najmniejszych śladów, zapomniał że wymagał od Dawida niepodobnej dla niego rzeczy. Psalmista jednak ze zwyczajną sobie prostotą odpowiedział tylko:

— Zaprawdę, wielka to byłaby radość dla mej duszy oglądać mieszkania chrześcijan; atoli, towarzyszyłbym raczej biednym panienkom powierzonym mojej opiece, nawet do bałwochwalczej prowincyi jezuitów, niżelibym miał cofnąć się o krok je-

den, kiedy one jęczą w strapieniu i niewoli.

Nie wszyscy obecni mogli dosyć zrozumieć Dawida, ale jego ton pewny, wyraz oczu, otwartość i szczerość wyryta w twarzy, nie zostawiły wątpliwości dla żadnego. Unkas zbliżył się i spojrzał na niego uprzejmie, a Szyngaszguk objawił swoje zadowolenie przez ten wykrzyknik, który u Indyan zastępuje miejsce oklasku.

—Nigdy nie była taka wola Pana Boga,— rzecze strzelec wzruszając głową;— żeby człowiek myślał tylko o swojém gardle, a zaniedbywał ćwiczyć szlachetniejsze władze otrzymane z łaski nieba. Szkoda że ten nieborak zamiast tego coby miał wychować się na wolném powietrzu i wśrzód powabów puszczy, wpadł za młodu w głupie ręce babskie; bo jednak ma dobre skłonności. Na, przyjacielu, oto znalazłem twoje cacko. Chciałem użyć go na rozniecenie ognia; ale ponieważ mocno je-

steś przywiązany do tej fraszki, weź ją sobie; niechaj ci służy szczęśliwie!

Gamma przyjął ulubione narzędzie muzyczne wstrzymując się od oznaków radości, ile mu, jak mniemał, nakazywała powaga jego professyi. Natychmiast jednak dla zapewnienia się czy nie było uszkodzone, wydobył kilka tonów, i porównywał je z własnym głosem; a skoro uspokoił się tą próbą, wyjął z kieszeni swoje kantyczki i poważnie zaczął przerzucać karty, pewno szukając jakiej długiej pieśni dziękczynienia.

Ale Hejward przeszkodził mu w tym pobożnym zamiarze, zadając pytania jedne po drugich. Szedziwy ojciec zapytywał go również z uczuciem tak mocnem, że Dawid chociaż co raz poglądał na swój instrument z widoczną chęcią użycia jego, musiał odpowiadać to dwóm oficerom, to strzelcowi często żądającemu dokładniejszej wiadomości o niektórych szczegółach.

Tym tedy porządkiem, mimo kilka przerw, w których preludye psalmisty groziły już rozpoczęciem się długiej pieśni; wędrowcy nasi wiele powzięli wiadomości pomocnych do wykonania ich przędsięwzięcia.

Magua trzymał swoje niewolnice na górze aż póki wrzawa rzezi grasującej po równinie nie uspokoiła się zupełnie. O południu dopiero, zstąpił na dół i udał się ku granicom Kanady w zachodnią stronę Horykanu. Ponieważ zaś bardzo dobrze znał tę drogę i przynajmniej rychłej nie spodziewał się pogoni, szedł bez pośpiechu, starając się wszakże ukrywać swe ślady. Widać było z prostego opowiadania Dawida, że dzicy cierpieli tylko jego obecność, ale wcale jej nie życzyli; jednak sam Magua nawet nie był wolny od tego przesądu, który nakazuje im szanować ludzi z woli wielkiego Ducha pozbawionych rozumu. Za nadejściem nocy nie dbano ani

o przykrycie branek od rosy, ani o zabezpieczenie od ucieczki.

Przybywszy do obozu Huronów, Lis Chytry podług polityki nieodstępnej wszystkim czynnościom dzikich, rozdzielił dwie siostry. Kora została przesłana do koczowniczej hordy zajmującej natenczas blizką dolinę; lecz Dawid nie tyle był obeznany z historyą i zwyczajami Indyan, żeby mógł powiedzieć imie tego pokolenia. Wiedział tylko, że dzicy ci nie znajdowali się pod twierdzą William Henryka, że podobnież jak Huronowie trzymali stronę Montkalma, że byli w przyjaznych stosunkach z bitnym i srogim narodem, w którego nieprzyjemném sąsiedztwie przypadek ich umieścił.

Mohikanie i strzelec słuchali niedokładnych i przerywanych doniesień Dawida z ciekawością wzrastającą co raz bardziej; a kiedy zaczął wysilać się na sposoby opisania obyczajów Indyan, do których Ko-

rę zaprowadzono, Sokole Oko przerwał mu zapytując :

— Czy uważałeś przynajmniej jakiej fabryki ich noże, angielskiej czy francuzkiej?

— Myśl moja nie była zajęta takiemi fraszkami, — odpowiedział Dawid ; — podzielałem boleść panienek i starałem się je pocieszać.

— Przyjdzie może czas, że nie będziesz uważał noża dzikich za tak nikczemną fraszkę, — rzecze strzelec z miną nietajonej wzgardy. Czy obchodzili oni święto zboża? Czy możesz powiedzieć nam cokolwiek o ich *totem*?

— Nie zbywa nam na zbożu, mamy go dosyć, dzięki Bogu, i gotowane w mleku równie jest przyjemne dla podniebienia, jak zdrowe dla żołądka. Co zaś do *totem*, to nie wiem co to znaczny. Jeżeli jest to jakaś rzecz należąca do muzyki indyjskiej, tego u nich nie znaleść; nigdy

oni nie wznoszą wspólnie głosu na chwałę Boga; i są, jak się zdaje, najbezbożniejsi ze wszystkich bałwochwalców.

— Potwarz przeciwko naturze Indyan! Mingowie, i ci nawet oddają cześć tylko prawdziwemu Bogu! Mówię to ze wstydem dla naszej farby; ale jestto bezczelne kłamstwo białych, że jakoby wojownicy leśni biją czołem posągom robionym przez się. Prawda że starają się oni żyć w zgodzie z szatanem; lecz któżby nie chciał żyć w zgodzie z nieprzyjacielem, którego pokonać nie można? To pewna jednak, że łaski i pomocy błagają tylko u dobrego i wielkiego Ducha.

— Bydź to może; ale wśród malowideł na ich ciele widziałem szczególniejsze postaci; a pilność w ich zachowywaniu, i uszanowanie jakie wzbudzają, trąci duchem pychy. Między innemi widziałem wyobrażenie obrzydliwego i nieczystego stworzenia.

— Czy nie węża? — śpiesznie zapytał strzelec.

— Nie węża, ale prawie takież plugastwo, bo żółwia.

— Hug! — wykrzyknęli razem obodwaj Mohikanie, a strzelec poruszał głową, jak kiedy kto odbierze ważną ale nieprzyjemną nowinę.

Szyngaszguk odezwał się natenczas z taką powagą i godnością, że chociaż mówił po delawarsku, ci nawet co go nierozumieli, słuchali uważnie. Poruszenia jego były znaczące, a niekiedy żywe i mocne. W ciągu mowy, jeden raz podniosł ramię prostopadle w górę i opuszczając zwolna, oparł wyciągnięty palec na piersiach, jak gdyby chciał przezto nadać większą moc temu co mówił. Ruch ten ręki odsłonił trochę kalikotową tkaninę pokrywającą mu wyższą część ciała, i Dunkan bacznie śledzący każde skinienie Sagamora, postrzegł na jego piersiach drobny wizeru-

nek, albo raczej tylko zarys żołwia doskonale wykończony żywym błękitem. Wszystko co słyszał o nagłem rozerwaniu się licznego narodu Delawarów, przyszło mu teraz na myśl, i niecierpliwie czekał chwili kiedyby mógł zadać kilka pytań, a niecierpliwość ta wzmagała się tém bardziej, że mowa wodza Mohikanów tak mocno go obchodząca była dla niego niezrozumiałą.

Skoro Szyngaszguk skończył, Sokole Oko nie dał majorowi czasu zapytać i sam przemówił do niego po angielsku.

— Dowiedzieliśmy się o tém, co może bydź nam albo pożyteczne albo szkodliwe, podług woli nieba. Sagamor pochodzi z najdawniejszej krwi Delawarów i jest wielkim wodzem ich Żółwiów. Że się oni znajdują w pokoleniu o którém śpiewak mówi, niewątpliwie możemy wnosić z tego, co nam on powiedział; i gdyby zamiast zrywania piersi na trąbienie w gardło, choć cząstki tego tchu użył roztropniej, a roz-

pytał się przynajmniej wielu jest tam wojowników tej kasty, moglibyśmy lepiej doradzić sobie. Cokolwiek bądź, zawsze mamy wiele niebezpieczeństw jeszcze, bo przyjaciel który odwrócił oblicze od nas, częstokroć jest gorszy, niżeli nieprzyjaciel otwarcie nastający na nasze włosy.

— Wytłumacz się jaśniej, — rzecze Dunkan.

— Byłaby to historya równie smutna jak długa, i nie lubię wspominać o tém,— odpowiedział strzelec; — bo nie można zaprzeczyć, że pierwsze złe poszło od ludzi białych. Koniec na tém, że bracia przeciw braciom podnieśli tomahawki, a Delawarowie z Mingami jedną ścieżką idą obok.

— I sądzisz że Kora znajduje się teraz u jakiej cząstki pierwszego z tych narodów? — zapytał Hejward.

— Sokole Oko odpowiedział tylko skinieniem głowy i widocznie nie rad był

prowadzić dalej rozmowy o tym przedmiocie przykrym dla niego. Niecierpliwy Dunkan zaczął natychmiast podawać rozmaite śrzódki wyratowania dwóch siostr z niewoli, lecz wszystkie tak były niedostępne, że chyba sama tylko rospacz mogła je doradzać lub obierać. Munro ocknął się ze swego letargu, słuchał z pobłażaniem bałamutnych projektów młodego majora. i nawet, jak się zdawało, gotów był przystać na te zamiary, które jego rosądek i wiek szedziwy odrzuciłby w innym razie. Lecz strzelec zaczekał spokojnie póki się nie wyszumiał pierwszy zapęd rozkochanego młodzieńca, a potém przełożył mu jak było rzeczą nierozsądną chwytać się nagłych i więcej niż azardownych sposobów, kiedy takie przedsięwzięcie wymagało tyleż zimnej krwi i ostróżności, ile męztwa i odwagi.

— Oto tak będzie najlepiej, — dodał nakoniec; — niechaj ten śpiewak wraca

śpiewać Indyanom, niech uwiadomi panienki że jesteśmy w tych stronach, i niech znowu przychodzi do nas dla narady, skoro mu damy hasło. Ty przyjacielu, jako muzyk, potrafisz zapewne rozróżnić głos kruka od głosu kukułki?

— Dla czegoż nie. Kukułka ma głos przyjemny i melancholiczny, a chociaż dwie tylko bierze nóty, śpiew jej dosyć jest miły.

— Dobrze więc, ponieważ głos ten lubisz, będzie on ci służył za hasło. Kiedy kukułka zakukuje trzy razy, pamiętaj trzy, ni mniej ni więcej; przychodź do lasu na to miejsce gdzie ją usłyszysz.

— Poczekaj jeszcze,—rzecze Hejward;— ja z nim pójdę.

— Pan! — zawołał strzelec z zadziwieniem patrząc mu w oczy;— czy się już panu uprzykrzyło widywać wschód i zachód słońca?

— Dawid jest żyjącym dowodem, że i Huronowie nie zawsze są bez litości.

— Ale gardło Dawida czyni mu taką usługę, jakiej człowiek zdrowego rozsądku nie może spodziewać się po swojém.

— I ja mogę grać rolę waryata, głupca, bohatéra, kogo chcesz nareszcie, bylebym tylko wybawił z niewoli drogą dla mnie osobę. Nie czyń więcej zarzutów; jużem postanowił.

Sokole Oko znowu spojrzał na niego oniemiały z podziwienia; lecz Dunkan, który dotąd przez wzgląd na doświadczenie i przychylność strzelca, prawie ślepo był posłuszny jego radom, przybrał teraz ton człowieka nawykłego rozkazywać, dał znak ręką że nie chce słuchać żadnych przekładań i nareszcie przemówił umiarkowańszym głosem:

— Wiem że potrafisz mię przebrać, i użyj natychmiast twojej sztuki. Maluj mię, zmieniaj całą moję powierzchowność, zrób

ze mnie co ci się podoba, mniemanego waryata naprzykład, jeżeli nie chcesz żebym został prawdziwym.

Strzelec nie rad z tego wszystkiego potrząsł głową.

— Nie do mnie,— rzecze,—należy przekładać, że ten kogo potężna ręka Opatrzności ukształciła, nie potrzebuje żadnej odmiany. Z resztą, państwo sami wysyłając oddział wojska w pole, macie zwyczaj dawać hasło i naznaczać miejsce zgromadzania się, żeby żołnierze mogli poznawać swoich i wiedzieli gdzie szukać przyjaciół; podobnie też. . . .

— Słuchaj mię , — zawołał Dunkan nie pozwalając mu dokończyć;— ten poczciwy człowiek , co tak nieodstępnie towarzyszył dwóm siostrom porwanym przez Indyan , powiada wyraźnie , że one przebywają u dwóch różnych pokoleń , czy może narodów. Ta którą nazywasz czarną kosą, znajduje się , jak sam mniemasz, pod stra-

żą jakiejś hordy Delawarów; młodsza zaś niezawodnie zostaje w ręku otwartych nieprzyjaciół naszych, Huronów. Ją zatém uwolnić jest najbardziej trudna i niebezpieczna część naszego przedsięwzięcia, i tę część biorę na siebie, jak tego wymaga moja młodość i mój stopień. Kiedy więc będziecie robili układy z waszymi przyjaciółmi o wydanie jednej, ja tymczasem uwolnię drugą, albo zginę.

Żołniesrki zapał błyszczał w oczach młodego majora i całej jego osobie nadawał tak znaczącą postawę, że trudno było mu się sprzeciwiać. Sokole Oko chociaż znał aż nadto dobrze jakiém niebezpieczeństwem w podobném przedsięwzięciu groziła przenikliwość Indyan, nie wiedział jednak co począć przeciw tak nagłemu postanowieniu. Mógł też tajemnie podobać się mu ten zamiar, bo zgadzał się z jego wrodzoną śmiałością i z tym pochopem do przedsięwzięć zuchwałych, który wzrastając

w nim obok doświadczenia, powiększył się tak dalece, iż niebezpieczeństwo stało się niejakoś dla niego koniecznie potrzebną w życiu igraszką. Nagle więc zmieniwszy swoje myśli, nie sprzeciwiał się dłużej Hejwardowi i ochoczo skłonił się mu pomagać.

— No, — rzecze uśmiechając się z miną dobrego *humoru*; — kiedy daniel chce rzucić się do wody, żeby mu przeszkodzić, trzeba zabiedz przed oczy, a nie z tyłu pędzić się za nim. Szyngaszguk ma w swojej torbie tyle farb, co jedna, znajoma mnie żona oficera artyleryi, która zasadza drzewa i wznosi góry na kawałku papieru. Z łaski jej można palcem dotykać obłoków; ale i Sagamor umie używać swoich kolorów. Usiądź pan na tym karczu, ręczę życiem, że zaraz zrobi on z pana tak naturalnego półgłówka, jak tylko można żądać.

Dunkan usiadł, a Szyngaszguk, który z u-

wagą słuchał całej tej rozmowy, zaraz wziął się do roboty. Wyćwiczony w sztuce mniej więcej znajomej prawie wszystkim dzikim, dołożył wszelkiej usilności żeby nadać majorowi powierzchowność tego, za kogo chciał uchodzić. Przekreślił jego czoło rysem, który Indyanie zwykli uważać za godło spokojnego i wesołego charakteru; pilnie wystrzegał się wszystkich znaków wyrażających skłonności wojenne, pomalował na jego policzkach figury dziwaczne, słowem, przestroił żołnierza na istnego śmieszka. Ludzie podobnego usposobienia nie byli rzadkim zjawiskiem u Indyan; a ponieważ Hejward wychodząc z twierdzy Edwarda zupełnie zmienił swój ubior i doskonale umiał po francuzku, mógł więc spodziewać się, że będzie wzięty za jakiegoś kuglarza z Tykondegory zwiedzającego pokolenia sprzymierzone.

Skoro już osądzono że w malowidle nie brakowało niczego, strzelec dał mnóstwo

rad i nauk jak należy postępować z Huronami; obrano znaki porozumiewania się i miejsce schadzki w razie jeśliby tej lub owej stronie udało się dopiąć celu; zresztą niezapomniano o niczém co tylko mogło wesprzeć ich przedsięwzięcie.

Rozstanie się Munra z młodym przyjacielem było bolesne. Półkownik jednak przystał na nie z tą obojętnością, jakiejby nigdy nie okazał, gdyby jego umysł był w zwyczajnym stanie, a ciężar smutku nie stłumił jego wrodzonej czułości i dobroci serca.

Strzelec odprowadziwszy majora na stronę powiedział mu, że ma zamiar zostawić starca w jakiej bezpiecznej kryjówce pod opieką Szyngaszguka, a sam z Unkasem udać się dla powzięcia pewniejszych wiadomości względem pokolenia Indyan, które z wielu powodów mogli uważać za cząstkę Delawarów. Powtórzywszy potém swoje przestrogi, żeby we wszystkiem co będzie

mówił i czynił najbardziej radził się ostróżności, dodał nakoniec tonem uroczystym, lecz razem z uczuciem mocno wzruszającém Dunkana:

— A teraz, majorze, niech Bóg prowadzi i oświeca pana! Ujmuje mię zapał pański; jestto dar właściwy młodości, zwłaszcza kiedy przy niej krew żywa i serce odważne. Ale proszę pamiętać na rady człowieka, który co mówi, wszystko to jest prawdą i nauką doświadczenia. Żeby uniknąć wszystkich sideł Minga i skłonić jego wolą, trzeba będzie panu więcej przytomności umysłu i dowcipu, niżeli tego z książek nabrać można. Niech Bóg czuwa nad panem! Jeśliby jednak Huronowie z głowy pańskiej wzięli godło tryumfu dla siebie, proszę ufać słowu człowieka mającego dwóch dzielnych wojowników do pomocy, że opłacą oni ten tryumf tylu trupami, ile włosów znajdą na niej! Jeszcze raz powtarzam, majorze, oby O-

patrzność błogosławiła przedsięwzięciu pańskiemu, bo to jest słuszne i chwalebne; lecz pamiętaj pan, że dla oszukania tych łotrów godzi się czynić i to, co nie zupełnie zgadza się z przyrodzeniem białych.

Hejward uścisnął rękę zacnemu towarzyszowi, który sam niewiedział czy mu wypadało przyjąć ten zaszczyt; znowu polecił jego opiece starego przyjaciela, oddał wzajemnie życzenia pomyślności w zamiarach, i skinąwszy na Dawidą żeby mu pokazywał drogę, odszedł z nim razem.

Strzelec przejęty uwielbieniem dla męztwa i odwagi młodego majora, poglądał za nim póki tylko mógł go widzieć, a potém smutnie wzruszając głową, jak gdyby wątpił, czy zobaczy się z nim kiedykolwiek, wrócił do trzech pozostałych towarzyszów i udał się z nimi w głąb lasu.

Dawid wyprowadził majora na przestrzeń wytrzebioną przez bobrów i poszli brzegiem ich stawu. Dopiéro teraz Hej-

ward zostawiony sam sobie, obok istoty tak prostej, tak mało zdolnej dać mu jakąkolwiek pomoc choćby w najostateczniejszym razie, uczuł całą trudność swego przedsięwzięcia, nie tracąc jednak nadziei przełamania wszystkich zawad.

Mrok wieczorny powiększał jeszcze bardziej ponurość i dzikość pustyni daleko rozciągającej się na wszystkie strony, a martwa cisza w domkach z okrągłymi dachami, gdzie tyle żyło mieszkańców, przejmowała jakąś okropnością. Dunkan przypatrując się dziwnym tym budowlom i postrzegając w każdej ich cząstce zastanawiający dowód przewidzenia, został uderzony myślą, że nawet zwierzęta dzikich tych ustroni mają instynkt prawie równy rozumowi, i nie mógł wspomnieć bez trwogi jaka czekała go walka i przeciw jakim siłom odważył się zuchwale. Lecz wśrzód tych uwag obraz biednej, samotnej, strapionej Aliny, stanął mu przed oczyma:

zadrżał na jej niebezpieczeństwo i zapomniał o własném. Pełen nowego zapału, ośmielając Dawida słowami i przykładem, ruszył naprzód pewnym i lekkim krokiem młodości i odwagi.

Okrążywszy staw bobrowy niemal do połowy drugiej jego strony, wzięli się w bok od brzegu, wstąpili na niewielką wyżynę i z pół godziny idąc wzniosłą płaszczyzną, ujrzeli drugi przestwor w lesie, podobnież strumykiem przecięty, i podobnież jak się zdawało zamieszkany niegdyś przez bobrów; lecz porzucony zapewne dla tego, że zmyślne te stworzenia, niedaleką dolinę osądziły za dogodniejsze siedlisko. Uczucie bardzo naturalne było powodem, iż Dunkan przed opuszczeniem gęszczy lasu zatrzymał się na chwilę, jak ten co mając pokonywać trudną zawadę, nim uczyni pierwszy zamach, stara się zebrać wszystkie swoje siły. Krótki ten przeciąg czasu dostarczył mu niektórych postrzeżeń,

jakie wzrok rzucony na prędzce mógł zebrać.

Na drugim końcu przestworu, w miejscu gdzie strumyk z szumem przebiegał pochyłość wzgórka, stało przeszło sześćdziesiąt chatek skleconych niezgrabnie z kłód, sęków chrustu i ziemi. Rozrzucone nieładem bez żadnego starania o kształt lub przynajmniej ochędóstwo zewnętrzne, budy te pod każdym względem tak były niższe od mieszkań bobrowych, że mocniej niż pierwsze zadziwiły Hejwarda.

Zadziwienie jego powiększyło się jeszcze bardziej, kiedy przy słabém świetle zmroku postrzegł niedaleko bud, dwadzieścia lub trzydzieści jakichsiś stworzeń, naprzemian ukazujących się z pomiędzy chwastów i znowu koleją niknących mu z oczu, jak gdyby zapadały w ziemię. Nie mogąc przypatrzyć się dziwacznym tym postaciom ledwo na chwilę widzialnym, prę-

dzej gotów był wziąść je za jakieś cienie lub nadprzyrodzone istoty, niżeli za osoby ludzkie z ciała i kości złożone. Naga figurka zjawiała się nagle, ginęła zaraz, i zostawując swoje miejsce dla równie tajemniczego widma, w mgnieniu oka wynurzała się o kilkanaście stop dalej.

Dawid niewiedząc czegoby się Hejward zatrzymał, rzucił wzrok w tymże samym kierunku i wywiodł go z osłupienia przemawiając następnie:

— Jest tu wiele żyżnego gruntu; ale marnie leży odłogiem. Bez nagannej chęci dogadzania miłości własnej powiedzieć mogę, że przez krótki ciąg mojego pobytu u tych pogan, wiele zasiałem dobrego ziarna, chociaż nie mam pociechy widzieć zieleniejącego wschodu.

— Dzikie te ludy więcej zajmują się polowaniem, niżeli zatrudnieniami zwyczajnémi w naszych krajach, — odpowiedział

Hejward niespuszczając oka z przedmiotu swego zadziwienia.

— Więcej jednak jest przyjemności niż trudu wznosić głos na chwałę Boga, a przecież te dzieci niegodziwie nadużywają daru niebios, — odparł Dawid; — rzadko mi się zdarzało widzieć, żeby kto w ich latach miał z natury tyle nieporównanych zdolności do śpiewania psalmów; ani jedno wszakże nie chce użyć na dobre swojego talentu. Przez trzy wieczory ciągle przychodziłem tutaj, zwoływałem je do siebie, nakłaniałem powtarzać za mną pieśń świętą; lecz zawsze odpowiadały mi tylko tak przeraźliwym i niezgodnym wrzaskiem, że mnie i uszy i duszę przeszywał na wskroś.

— O kim to mówisz ? — zapytał Dunkan.

— A o tych odjablętach, co tu, jak widzisz pan, tracą czas na igraszki dziecinne, którego mogłyby użyć tak pożytecznie, gdyby mię słuchały. Ale bo zbawienny przy-

mus chłosty nie jest zaprowadzony u tych ludów puszczonych samopas. W kraju gdzie tyle brzoz rośnie, użycia rózek nie znają nawet. I cóż za dziw więc, że widzę dobrodziejstwa Opatrzności na złe użyte i słyszę tak fałszywe głosy, jak te naprzykład.

Kończąc te słowa obu dłoniami pozatykał uszy, żeby niesłyszeć wrzasku którym dzieci napełniły lasy. Dunkan uśmiechnął się sam z siebie, że przez chwilę podał się był zabobonnym myślom, i śmiało posuwając się naprzód, rzekł do towarzysza: — Idźmy!

Psalmista nieodbierając rąk od uszu poszedł za nim i wkrótce zbliżyli się do tak zwanego przez Dawida obozu Filistynów.

ROZDZIAŁ VI.

„Dzielny jeleń, za którym każdy pragnie gonić,
Niech ma czas uciekać, niech się stara bronić
I daleko uchodzi, gdy trąba myśliwa,
Zgraję psów i rumaków do pościgu wzywa;
Ale jeśli lis podły łowów naszych celem,
Nie przebierajmy śrzodków z tym nieprzyjacielem:
Czy poległ on od strzału, czy sidła nie minął.
Nic to nas nie obchodzi, byle tylko zginął.“

Walter Skot.

Bardzo rzadko się zdarza żeby stanowiska Indyan podobnie jak obozy ludzi białych, były strzeżone przez pikiety zbrojne. Dzicy zdolni wcześnie przewidzieć zbliżające się niebezpieczeństwo, tém śmielej polegają na doskonałej umiejętności pojmowania przestrog jakie im las przynosi, że rozległe pustynie i trudne przejścia zasłaniają ich od napadów. Jeżeli więc szczę-

śliwy traf jaki, pomoże nieprzyjacielowi ujść baczności czatów krążących w pewném oddaleniu od mieszkań, nigdy już prawie nieznajdzie on blizko nich straży, któraby dała hasło trwogi. Prócz tego, pokolenia sprzymierzone z Francuzami, znając jak ciężki cios świeżo zadano nieprzyjaciołom, mniej jeszcze miały powodu lękać się narodów trzymających się strony angielskiej.

Dla tego też Hejward i Dawid weszli pośrzód dzieci grą swoją zajętych, wprzód nimby ktokolwiek oznajmił o ich przybyciu. Lecz skoro tylko postrzeżeni zostali, cała zgraja Huroniąt jakby zmównie wydała tłumny a razem harmonijny okrzyk, i jakby przez moc czarnoxiężką znikła im z oczu, ponieważ kolor powiędłych chwastów w których się ukryły przy słabém świetle zmroku zupełnie zgadzał się z kolorem ich ciała. Kiedy jednak Dunkan ochłonąwszy z pierwszego zadziwienia, rzu-

cił wzrok w koło siebie, wszędzie gdziekolwiek spojrzał, spotykał między trawą czarne i bystre oczy ciągle utkwione w niego.

Ta ciekawość dzieci zdała się majorowi wróżbą nie nader pomyślną i chętnieby w tej chwili wziął się do odwrotu; lecz wahać się nawet było już za późno. Nagły wrzask dzieci wywołał z mieszkań kilkunastu wojowników: zebrali się oni u drzwi najbliższej budy i poważnie czekali na niespodziewanych przychodniów.

Dawid obeznany już nieco z tém wszystkiem, poprzedzał Hejwarda krokiem tak pewnym, iż chyba nie lada jaka zawada zbiłaby go zdrogi, trzymał się linii prostej i z miną najspokojniejszą wszedł do budy. Było to główne i największe mieszkanie w całej tej wsi niby, chociaż ani z lepszych materyałów, ani staranniej zbudowane od innych. Tu odbywały się narady i publiczne zgromadzenia Huronów pod-

czas krótkiego ich popasu na granicy prowincyi angielskiej.

Nie łatwo było Dunkanowi zachować powierzchowność obojętną, kiedy przechodził mimo ogromnych i pleczystych Indyan zgromadzonych u drzwi; wspomniawszy jednak, iż życie jego zależało od przytomności umysłu, starał się zdobyć na odwagę i krok w krok szedł za swoim towarzyszem. Krew zamarła w nim na chwilę gdy się prawie ocierał koło tak drapieżnych i nieubłaganych nieprzyjaciół, lecz przemógł siebie i nieokazawszy najmniejszego znaku trwogi, udał się w głąb chaty, gdzie naśladując Dawida wziął z kupy wonnych gałęzi jednę wiązkę i usiadł na niej w milczeniu.

Tuż za przychodniem, Indyanie będący na podworzu weszli do chaty i otoczywszy go czekali cierpliwie, póki godność cudzoziemca pozwoli mu przemówić. Inni z niejakąś ociężałością leniwą stali oparci o

kłody drzewa, które służyły za podpory tej prawie chwiejącej się budowie. Trzech lub czterech najstarszych i najznamienitszych wojowników, podług ich zwyczaju, usiadło nieco na przedzie całego grona.

Jedna tylko pochodnia oświecała tę izbę, a jej blask czerwonawy kolejno odbijał się na twarzach zgromadzonych Indyan, wedle tego jak ciąg powietrza w tę lub ową stronę płomień jej naginał. Dunkan w tymże kierunku wodząc oczyma, chciał wyczytać jakiego przyjęcia mógł się spodziewać; lecz przenikliwość jego nie zdolna była mierzyć się z chytrością dzikich, wpośrzód których się znajdował.

Wodzowie siedzący przed nim, zaledwo rzucili wzrok na niego i spuściwszy oczy ku ziemi przybrali postawy, które równie mogły wyrażać poszanowanie jak nieufność. Dalsi, ukryci w cieniu mniej mieli się na baczności i Hejward nieraz przejął ich ciekawe i badawcze spojrzenia;

jakoż najmniejszy ruch jego postaci, najmniejszy rys lub wyraz jego twarzy, nie uszedł ich uwagi i był powodem do jakiegokolwiek wniosku.

Nakoniec jeden Indyanin, którego włos zaczynał już siwieć, lecz jędrne członki, trzymanie się proste i krok pewny, okazywały że miał siły męzkiego wieku, wyszedł z kąta, gdzie zostawał zapewne dla tego, żeby sam niewidziany lepiej mógł przypatrywać się gościowi, zbliżył się do Hejwarda i przemówił językiem Wyandotów czyli Huronów. Przemowa ta była więc niezrozumiałą dla majora, chociaż z jestów mówiącego mógł poznać, że mu oświadczano raczej grzeczność niżeli nieprzyjaźń. Pokazał przeto na migach iż nierozumiał tego języka.

— Czy nikt z moich braci nie mówi po francuzku albo po angielsku? — zapytał potém po francuzku i oglądając się na

wszystkich co bliżej niego siedzieli, w nadziei iż którykolwiek mu odpowie.

Wielu zwróciło się do niego jak gdyby mieli słuchać z większą uwagą; lecz żaden nieodpowiedział.

— Niechciałbym wierzyć, — znowu odezwał się Hejward także po francuzku i głosem powolnym aby go łatwiej zrozumiano; — żeby w tak walecznym i mądrym narodzie nie było nikogo coby umiał język, którym wielki monarcha do swoich dzieci przemawia. Ścisnęłoby się mu serce, gdyby pomyślał, że jego wojownicy czerwoni tak mało go poważają.

Długa nastąpiła cichość: niezachwiana powaga na wszystkich panowała twarzach, i ani jedno poruszenie ręki, ani jedno mgnienie oka nie dało poznać jaki skutek na umysłach słuchaczów sprawiły te słowa. Dunkan wiedząc że umieć milczeć było cnotą u dzikich, postanowił dać z siebie

dobry przykład i użył tej przerwy na uporządkowanie swych myśli.

Po niejakim czasie tenże sam wojownik co pierwej przemówił do niego, zapytał go tonem suchym i zepsutą francuzszczyzną kanadyjską:

— Kiedy nasz ojciec wielki monarcha, mówi do swojego ludu, czy używa języka Huronów?

— On do wszystkich jednymże mówi językiem,—odpowiedział Hejward;—nieczyni on żadnej różnicy między swojemi dziećmi, czy ich skóra jest czerwona, biała lub czarna; ale szczególniej poważa swoich walecznych Huronów.

— A co on powie,—zapytał znowu Indyanin, — kiedy mu pokażą włosy, które przed pięcią nocami rosły jeszcze na głowach Dżankesów (*)?

— Dżankesy byli jego nieprzyjaciółmi, —

(*) Anglików.

rzecze Hejward z wezdrgnieniem wewnętrznem; — i dla tego powie on: dobrze, moi Huronowie sprawili się walecznie, jak zawsze.

— Nasz ojciec kanadyjski nie tak myśli. Zamiast coby miał patrzać naprzód i nagrodzić Huronów, oziera się w tył. Patrzy na Dżankesów pobitych, a nie patrzy na Huronów· Co to ma znaczyć?

— Taki wielki wódz jak on; więcej ma myśli niż języka. Oziera się w tył, żeby widzieć czy który nieprzyjaciel nie idzie za nim.

— Łódź nieprzyjaciela zabitego, nie popłynie przez Horykan, — odpowiedział Huron z miną ponurą. — Uszy jego są otwarte dla Delawarów, którzy nie są naszymi przyjaciółmi i napełniają je kłamstwem.

— To bydź nie może. Przecież on mnie, jako człowiekowi biegłemu w sztuce leczenia, kazał iść do swoich dzieci Huro-

nów czerwonych z nad jezior wielkich, i pytać, czy który z nich nie jest chory.

Znowu nastąpiło milczenie równie długie i głębokie jak pierwej, skoro Dunkan oświadczył kim był, albo raczej za kogo chciał uchodzić. Lecz razem wszystkich oczy zwróciły się na niego z natężeniem i przenikliwością, jak gdyby chciano zbadać czy prawdę mówił. Mocno zatrwożony major czekał wypadku tego badania, kiedy ten sam Huron znowu się odezwał.

— Alboż uczeni kanadyjscy malują sobie ciało? — zapytał ozięble; — my słyszeliśmy że oni chlubią się ze swoich twarzy bladych.

— Kiedy wódz indyjski przychodzi do swoich ojców białych, — odpowiedział Hejward; — podają mu koszulę, a on zrzuca skórę bawolą: moi bracia Indyanie przyozdobili mię tym malowidłem i noszę je przez miłość ku nim.

Szmer przyjazny dał poznać że ten kom-

plement powiedziany Indyanóm dobrze był przyjęty. Wódz na znak zadowolenia wyciągnął rękę; wielu jego towrzyszów uczyniło tož samo, i wszyscy tłumnym wykrzyknieniem dali niby oklask mówiącemu. Dunkan sądząc się już uwolnionym od tak kłopotliwego śledztwa, zaczął oddychać swobodniej, a mając w gotowości na wsparcie niewinnego oszukaństwa, prostą i podobną do prawdy anekdotę, powziął nadzieję dopięcia zamiaru.

Drugi wojownik powstał dopiéro i po chwili milczenia jakby dla namysłu co wypadało odpowiedzieć cudzoziemcowi, dał znak že ma mówić. Lecz zaledwo otworzył usta, głuchy i ponury warchoł rozległ się po lesie, a w tejže prawie chwili zatłumił go wrzask ostry i przeraźliwy kończący się długim spadkiem głosu podobnym do žałośnego wycia wilków.

Dziki ten krzyk widocznie ściągnął całą uwagę Indyan, a Dunkana tak mocno

przeraził, że chociaż nie wiedział ani przyczyny ani znaczenia jego, szybko zerwał się z miejsca. Wszyscy wojownicy natychmiast wybiegli z chaty i napełnili powietrze silném wołaniem, które prawie zagłuszało hałas co kilka chwil powtarzający się w lesie.

Hejward nie mogąc oprzeć się ciekawości, wyskoczył także z budy i postrzegł koło siebie bezładną tłuszczę złożoną z tego wszystkiego, co tylko żyło w obozie. Mężczyzni, kobiety, starcy, dzieci, niedołężni, słabi, słowem całe pokolenie zbiegło się tutaj. Jedni wykrzykiwali z tryumfem, drudzy klaszcząc w dłonie okazywali radość mającą w sobie coś srogiego, wszyscy nakoniec wyrażali dzikie zadowolenie, z jakiegoś wypadku niespodziewanego. Odurzony zrazu tą wrzawą, nie mógł nic pojmować, lecz wkrótce nowe zjawisko objaśniło mu całą tajemnicę.

Przy ostatku wieczornego światła można

jeszcze było widzieć między drzewami na drugim końcu przestworu ścieszkę wiodącą w głąb lasu. Długi szereg wojowników ukazał się na niej i zbliżał się ku mieszkaniom. Pierwszy z nich, jak później dało się postrzedz, niosł tyczynę obwieszaną włosami z głów wielu. Okropne wycia, które biali słusznie nazwali okrzykiem śmierci, powtarzały się tyle razy, ilu nieprzyjaciołom wydarto życie. Dunkan znając ten zwyczaj Indyan, łatwo się domyślił, że przyczyną nagłego zamieszania, był powrót wojowników z wyprawy. Uspokoił się zatém i owszem rad był z tej okoliczności czyniącej mu nadzieję, że Huronowie mniej będą zważali na niego.

Nowo przybyli wojownicy zatrzymali się o kilkaset kroków od mieszkań, i krzyki ich wyrażające już jęk poległych, już radość zwycięzców, ucichły nagle. Jeden z nich wystąpił nieco naprzód i wyliczywszy imiona tych, którzy już ani jego wołania, ani

wściekłego wycia słyszeć nie mogli, ogłosił swieżo odniesione zwycięstwo. Niepodobna wystawić, z jakim zapałem dzikiej radości i uniesieniem szaleństwa nowina ta przyjęta została.

Cały oboz w mgnieniu oka napełnił się zgiełkiem i wrzawą. Wojownicy dobyli nożów i wznosząc je nad głowy, szykowali się we dwa rzędy rozciągnione od stanowiska zwycięzców, aż do budy publicznych zgromadzeń. Kobiety chwytając maczugi siekiery, broń rozmaitą, wszystko nareszcie co się im nawinęło pod rękę, śpieszyły uczęstniczyć w okrótném igrzysku, które miało się odbywać. Małe chłopcy nawet, gwałtem odrywały od pasów ojcowskich tomahawki i dźwigając je z trudnością, wciskały się między wojowników, żeby naśladować dzikich swych rodziców.

Stare niewiasty szybko roznosiły ogień od stosów do stosów chrustu przygotowanych na rozmaitych miejscach. Wkrótce

rozniecony płomień zatłumiłresztę dziennego światła: widowisko stało się wyraźniejsze i bardziej obmierzłe. Rażący obraz tego miejsca miał za ramy czarne ściany puszczy sosnowej, a za tło, oddaloną zgraję wojowników nowo przybyłych. Na kilka kroków przed nimi stało dwóch ludzi, którzy jak się zdawało, przeznaczeni byli do odegrania głównej roli w okrótném igrzysku wnet rozpocząć się mającém. Słabe światło i znaczna odległość, niepozwalały Hejwardowi wyraźnie widzieć ich twarzy, lecz z samej powierzchowności można było poznać, że każdy z nich zupełnie innych doświadczał uczuć. Jeden miał postać prostą i odważną, jak gdyby gotów był po bohatérsku znieść przeznaczenie losu; drugi niby wstydem zdjęty lub otrętwiały z przestrachu, trzymał głowę zwieszoną na piersi.

Dunkan miał duszę tak wzniosłą, że nie mógł bez uwielbienia i litości poglądać na

pierwszego, a chociaż ostrożność nie radziła mu okazywać najmniejszego znaku tych uczuć, mimowolnie zwracał na niego oczy, śledził każde jego poruszenie, i widząc równie silną jak wysmukłą budowę młodzieńca, starał się wmówić w siebie, że jeżeli tylko człowiek wspierany dzielną odwagą, może ujść niebezpieczeństw tak wielkich, to pewno nieszczęśliwy więzień którego, jak się domyślał, miano zmusić do biegu pomiędzy dwa rzędy zapaleńców uzbrojonych na jego życie, obronną ręką wyjdzie z tego przegonu.

Nieznacznie zbliżył się bardziej do Huronów i z niespokojności o los młodego jeńca ledwo mógł oddychać.

W tém jeden głos tylko dał hasło okrótnych wyścigów: głębokie milczenie panowało przed nim, a po nim podniosły się tak piekielne wycia jakich jeszcze Hejward nigdy niesłyszał. Jeden z nieszczęśliwych męczenników stał bez ruchu: drugi na-

tychmiast pędem daniela rzucił się między szeregi nieprzyjaciół; lecz wbrew oczekiwaniu, nie biegąc dalej niebezpieczną drogą, wprzód nim zdołano pierwszy cios mu zadać, skoczył w bok po nad głowy dwojga dzieci i w mgnieniu oka daleko był od Huronów. Przeklęstwa rozległy się w powietrzu, szyki zostały pomięszane i wszyscy rozsypali się w pogoń.

Płomię roznieconych stosów świeciło posępno czerwonawym blaskiem. Dzicy jedni ledwo widzialni w oddaleniu, podobni byli do mar lecących w powietrzu z gwałtownymi ruchami wściekłości, drudzy przebiegając bliżej ognia, mieli na ciemnych swych twarzach wyraz okrocieństwa najdobitniej wyryty.

Łatwo się domyślić, że wśrzód takiej zgrai nieprzyjaciół rozjuszonych, zbieg nie miał czasu do wytchnienia. Raz tylko spodziewał się już wbiedz do lasu, lecz znalazłszy tu na straży ten sam oddział,

co go wziął w niewolą, musiał wrócić znowu do śrzodka przestworu. Szybko więc jak daniel kiedy myśliwca przed sobą zoczy, rzucił się nazad, jednym skokiem przesadził stos zapalonego chrustu, pędem strzały przeleciał gromadę kobiet i wnet ukazał się na drugim brzegu lasu; ale i tu trafił na zasadzę. Udał się zatém w inną stronę, gdzie bardziej było ciemno i Dunkan nie widząc go chwil kilka, zaczął już mniemać, że mężny i zręczny młodzieniec poległ nareszcie pod ciosami barbarzyńców.

Długi czas widać tylko było zmieszany tłum ludzi nieładem bieżących tu i ówdzie; lecz maczugi noże i tomahawki podniesione w górę, przekonały majora, że jeszcze raz ostateczny nie został zadany. Wrzask kobiet i wycia wojowników powiększały okropność tego widowiska. Kilkakroć Dunkan postrzegał w ciemności lekką postać ludzką przeskakującą zawa-

dy jakie się jej nadarzyły w biegu, i zawsze nabierał nowej nadziei, że dziwna szybkość i niewyczerpane siły młodego więźnia, długo jeszcze trwać mogą.

Wtém nagle cała tłuszcza cofając się nazad, zbliżyła się do miejsca gdzie major zostawał ciągle. Kilku dzikich gwałtownie torując sobie drogę między tłumem, wywróciło wiele kobiét i dzieci, a wśrzód tego zamięszania znowu ukazał mu się jeniec ścigany. Ale siły ludzkie nie mogły dłużej znieść takiego wytężenia, i widać już było że nieszczęśliwy sam to czuć zaczynał. Pobudzony rospaczą rzucił się na kilkunastu wojowników i zmięszawszy ich zuchwałą swą odwagą, ostatni raz probował uciec do lasu, a jak gdyby wiedział iż nie miał czego lękać się majora, pominął go tak blizko że aż się dotknął jego odzienia.

Dziki olbrzymiego wzrostu pędził tuż za nim i podniesionym tomahawkiem miał

już mu zadać cios śmiertelny, kiedy Dunkan postrzegłszy niebezpieczeństwo tak blizkie, niby przypadkiem podstawił mu nogę i Huron padł na ziemię prawie pod same pięty uciekającego młodzieńca. Więzień korzystając z tego zdarzenia, rzucił tylko wzrok bystry na Dunkana i podwoiwszy szybkość, zniknął jak napowietrzny płomień. Hejward oglądał się na wszystkie strony i nigdzie nie mogąc go ujrzeć, zaczynał już pochlebiać sobie że pomógł mu ujść do lasu, lecz wnet postrzegł go spokojnie stojącego przy słupie malowanym w różne kolory u drzwi największej chaty.

Lękając się żeby pomoc którą tak wporę dał zbiegowi nie została odkrytą i zgubną dla niego samego, skoro tylko dziki upadł, przeszedł na inne miejsce i wmięszał się między tłuszczę skupiającą się koło mieszkań tak niechętnie, jak pospólstwo odchodzi do domów, kiedy zgroma-

dziwszy się na widowisko tracenia zbrodniarza, dowie się że ten ułaskawienie otrzymał.

Jakieś niepojęte, mocniejsze od ciekawości uczucie, pociągało Hejwarda ku więźniowi; lecz żeby zbliżyć się do niego, trzeba było przemocą prawie torowrć sobie drogę wśrzód ściesnionej zgrai, czego mu w obecném położeniu roztropność czynić nie radziła. Po kilku chwilach jednak ujrzał go niedaleko od siebie. Młodzieniec zmordowany biegiem trzymał jedną ręką słup zabezpieczający go od napaści, a chociaż oddychał ciężko, przez dumę jednak starał się ukryć wszelki znak cierpienia. Zwyczaj uświęcony od niepamiętnych czasów, czynił natenczas jego osobę nietykalną, dopóki rada narodowa nie roztrzygnie jego losu; ale łatwo można było przewidzieć wyrok tej rady, miarkując po wyraźném usposobieniu tych co go otaczali.

Język Huronów nie miał żadnego wyrazu wzgardy, żadnego przezwiska krzywdzącego, żadnej obelgi, którychby kobiety nie użyły na młodego cudzoziemca, skoro się ten uchronił od ich wściekłości. Wyrzucały mu nawet, że tak dzielnie usiłował ratować się ucieczką; mówiły z gorzkiem urąganiem, że nogi jego więcej były warte niż ręce, i że mu należało dać skrzydła, ponieważ nie umiał używać ni strzał ni noża. Na wszystkie te uszczypliwe słowa, więzień nic nieodpowiadał, i równie wolny od bojaźni jak gniewu, okazywał tylko wzgardę połączoną z godnością. Złość rozjątrzona spokojnością niezachwianą, wyczerpawszy słównik obelg., wylała się w przeraźliwém wyciu.

Jedna ze starych niewiast które zapalały stosy, roztrącając tłum przecisnęła się do więźnia i stanęła przed nim. Z pomarszczonej twarzy, z zapadłych oczu i nie-

chlujności ohydliwej, możnaby było wziąść ją za czarownicę. Odrzuciwszy w tył lękką zasłonę pokrywającą jej piersi, wyciągnęła długą, wywiędłą rękę, i przemówiła do niego po delawarsku, żeby lepiej mógł ją zrozumieć.

— Słuchaj ty Delawarze, — rzekła z uśmiechem szyderczym, — naród twój jest zniewieściały i motyka lepiej przystoi waszym rękom niż strzelba. Skwawy wasze dają życie danielom tylko, i gdyby niedzwiedź, wąż, lub kot dziki, urodził się pomiędzy wami, ucieklibyście wszyscy. Dziewczęta hurońskie zrobią ci spodnicę, a my wydamy cię za mąż.

Dziki śmiech rozlegał się długo po tym dowcipnym ucinku, a między chrapliwym wrzaskiem niewiast starych, dawały się słyszeć i głosy kobiét młodych. Lecz cudzoziemiec równie znosił szyderstwa jak obelgi: stał ciągle z głową podniesioną do góry i gdyby czasami nie rzucał wzroku

pełnego wzgardy i dumy na wojowników w milczeniu stojących za kobiétami, możnaby było mniemać, iż sądził się bydź samotnym,

Rozdrażniona spokojnością więźnia stara megera wzięła się za boki i przyjąwszy postać jaką jej nadała wewnętrzna wściekłość, wylała potok obelg których nie podobna wyrazić na papierze. Ale chociaż długim doświadczeniem wyćwiczona w sztuce uragania się z nieszczęśliwych ofiar, zjednała pod tym względem powszechną sławę u swojego narodu, chociaż z wysilenia i zapału piana wystąpiła jej na usta, niczego jednak dokazać nie mogła: ten którego chciała udręczyć, najmniejszego wzruszenia nie okazał na twarzy.

Złość z powodu tej miny obojętnej zaczęła już dotykać i dalszych widzów. Chłopiec zaledwo wyszły z lat dziecinnych, który pierwszy raz w poczet wojowników policzony został, przybył na pomoc starej

czarownicy i chcąc przez próżne pogróżki nieprzyjaciela zatrwożyć, zaczął przed nim tomahawkiem wywijać. Więzień zwrócił twarz ku niemu, spojrzał nań z politowaniem wzgardliwém i znowu przybrał tę samą postać spokojną, w jakiej do tąd zostawał. Lecz gdy podczas tego zdarzenia znalazł zręczność wlepić na chwilę wzrok swój pewny i przenikliwy w oczy Dunkana, ten poznał że nieszczęśliwym jeńcem był młody Mohikan Unkas.

Uderzony zadziwieniem, które go niemal tchu pozbawiło, zadrżał widząc przyjaciela w tak krytyczném położeniu i spuścił w dół oczy, aby wyraz ich nie przyśpieszył losu więźnia, chociaż widocznie on sam, w tym momencie przynajmniej, nie lękał się o siebie.

W tejże chwili prawie, jeden wojownik po grubiańsku odtrącając na stronę kobiéty i dzieci, wyszedł z pomiędzy ciżby i wziąwszy Unkasa za rękę wprowadził go

do wielkiej chaty. Wszyscy wodzowie i znakomitsi wojownicy pokolenia udali się za nimi, a w tém Hejward powodowany niespokojnością, znalazł sposób wciśnienia się razem bez zwrócenia na się uwagi, która mogłaby mu bydź niebezpieczna.

Kilka chwil Huronowie szykowali się podług znaczenia i władzy jaką mieli w swoim narodzie, i zajęli miejsca prawie tym samym porządkiem jak w ten czas, kiedy Hejward pierwszy raz ukazał się przed nimi. Starcy i główni naczelnicy zasiedli na śrzodku, gdzie blask jednej pochodni najmocniej przyświecał; młodzi i mniej dostojni wojownicy stali w koło za nimi. W samym śrzodku izby pod otworem dla ujścia dymu zrobionym, przez który widać było dwie lub trzy gwiazdy swiecące natenczas, stał Unkas w postawie pełnej spokojności i dumy. Szlachetny wyraz twarzy młodzieńca nie uszedł wzroku sędziów jego losu; oczy ich nie tracąc bynajmniej swojej dzikości, często zwra-

cały się ku niemu z widocznem uwielbieniem jego męztwa.

Inaczej działo się z drugim więźniem podobnież jak młody Mohikan skazanym na przegon między dwóma rzędami uzbrojonych Indyan. Chociaż zgiełk i zamieszanie wyżej opisane nastręczały mu zręczność do ucieczki, niestarał się z niej korzystać i lubo przez nikogo nie pilnowany, stał bez ruchu nakształt posągu wyrażającego zawstydzenie. Niczyja ręka nie prowadziła go do domu rady; wszedł on sam jakby ciągniony nieodzownym wyrokiem.

Dunkan znalazłszy dopiero sposobność zajrzeć mu w twarz, podniosł oczy z tajemną bojaźnią poznania znowu przyjaciela; lecz pierwszy rzut oka przekonał go, że nie tylko był to człowiek zupełnie mu obcy, ale co dziwniejsza, ze sposobu jakim miał ciało umalowane, wyglądał na wojownika hurońskiego. Nie mięszając się jednak między swoich współobywateli, usiadł

sam jeden w oddalonym kącie z głową zwieszoną na piersi i tak utulony, jak gdyby usiłował ile możności najmniej zabrać miejsca.

Kiedy już wszyscy uszykowali się zwyczajnym sobie porządkiem, głęboka cichość nastąpiła w zgromadzeniu i wódz osiwiały przemówił do Unkasa w języku delawarskim:

— Chociaż narod twój, Delawarze, jest narodem niewiast; dowiodłeś jednak żeś godzien nazwiska mężczyzny. Chętnie podałbym ci posiłek; ale ten co je z Huronem, staje się jego przyjacielem. Wypocznij do jutrzejszego słońca, a w tenczas usłyszysz słowa rady.

— Nie jadłem siedm długich dni i nocy idąc śladem Huronów, — odpowiedział Unkas; — synowie Lenapów umieją przebywać drogę prawą bez zatrzymywania się dla posiłku.

— Dwaj wojownicy moi udali się w po-

goń za twoim towarzyszem, — mówił dalej wódz szedziwy niezważając niby na wzgardliwą odpowiedź Unkasa; — skoro oni powrócą, głos mędrców rady powie ci: Żyj, albo umieraj!

— Czyli więc Huronowie nie mają uszu? — zawołał młody Mohikan. — Delawar od czasu jak został waszym niewolnikiem, dwa razy słyszał huk strzelby dobrze mu znajomy. Dwaj wojownicy wasi nie powrócą nigdy.

Milczenie kilkochwilowe nastąpiło po tej dumnej odpowiedzi wzmiankującej o strzelbie Sokolego Oka. Dunkan zatrwożony tą cichością nagłą, wyciągnął szyję chcąc wyczytać z twarzy Indyan, jakie wrażenie na ich umysłach uczyniły słowa jego przyjaciela; lecz w tym momencie wódz odezwał się znowu i przestał na następném zapytaniu:

— Jeżeli Lenapy są tak dzielni, dla cze-

goż jeden z najwaleczniejszych ich wojowników jest tutaj?

— Dla tego że gonił uciekającego nikczemnika i wpadł w zasadzkę,—odpowiedział Unkas. — Bobr jest rozumny, a jednak można go złapać.

To mówiąc wskazał palcem na Hurona utulonego w kącie i wymienił go tylko wzgardliwém spojrzeniem. Słowa, postać i wzrok młodego Mohikana, uczyniły mocne wrażenie na słuchaczach. Wszystkich oczy zwróciły się razem ku samotnemu więźniowi, i głuchy szmer rozszerzył się aż do tłumu kobiét i dzieci tak skupionych u drzwi, że na cal wolnego miejsca nie było między niémi.

Tymczasem wodzowie najstarsi objawili jedni drugim swoje zdania przez kilka wyrażeń krótkich, głosem podziemnym i z dobitnemi jestami wyrzeczonych. Głęboka cichość, wiadoma wszystkim obecnym poprzedniczka uroczystego wyroku, nastąpi-

ła znowu. Huronowie stojący za plecami naczelników, wspinali się na palcach żeby zaspokoić swą ciekawość: sam nawet przestępca ochłonąwszy ze wstydu, na chwilę podniosł głowę i usiłował z oczu sędziów wyczytać, jakiego miał spodziewać się losu. Nakoniec stary wódz, o którym mówiliśmy już tyle razy, powstał z miejsca, przeszedł mimo Unkasa, zbliżył się do samotnego Hurona i stanął przed nim poważnie.

W tém stara niewiasta, co pierwej urągała się z Mohikana, wystąpiła na śrzodek izby, wzięła w rękę jedynę pochodnię oświecającą całą chatę i zaczęła dziwaczny taniec, mrucząc pod nosem słowa podobne do zaklinania duchów. Nikt jej nieprzywoływał, lecz nikt też nie myślał jej oddalać.

Przystąpiwszy naprzód do Unkasa, postawiła przed nim pochodnię w ten sposób, aby mogła wyraźnie widzieć najmniej-

sze poruszenie jego twarzy, i odbywała dalej swoje pantominy. Lecz młody Mohikan również wytrzymał tę ostatnią próbę, nie zmieniając dumnej i spokojnej postawy, nie racząc spojrzeć na obmierzłą megerę. Zadowolona niby z tego co postrzegła, z lekkim wyrazem ukontentowania opuściła jego i poszła wygrywać tę samą rolę przed rodakiem swoim.

Obwiniony Huron był w kwiecie wieku; lekka odzież ledwo okrywała piękne kształty wszystkich jego członków, a światło pochodni pozwalało widzieć wyraźnie udatną jego kibić. Lecz Dunkan ze wstrętem odwrócił od niego oczy, gdy postrzegł w nim konwulsyjne drżenie bojaźni. Stara czarownica na widok ten zaczęła pieśń cichą i żałobną. W tém wódz wyciągnął rękę i odpychając ją z lekka, przemówił do więźnia:

— Trzcino Powiewna, — takie bowiem było jego imie,—chociaż Duch Wielki dał

tobie powierzchowność miłą oku, lepiejby jednak ci było, gdybyś się był nierodził. Język twój wiele mówi w mieszkaniu, lecz milczy podczas bitwy. Żaden z młodych wojowników moich nie tnie głębiej od ciebie w słup wojny, żaden tak słabo nie uderza Dżankesów. Nieprzyjaciele nasi znają doskonale kształt twojego grzbietu, ale nigdy nie widzieli jaki kolor twych oczu. Trzykroć wyzywali cię do potyczki, trzykroć wzbraniałeś się im odpowiedzieć..... Nie jesteś godzien twojego narodu..... Nigdy w nim nie wspomną o tobie..... Imie twoje już zapomniane.

Kiedy wódz to mówił, czyniąc przestanek za każdym okresem, Huron przez wzgląd na wiek i dostojność starca, zwolna głowę podnosił. Wstyd, bojaźń, przestrach, duma, kolejno malowały się na jego twarzy i walczyły o pierwszeństwo. Wreście ostatnie z tych uczuć wzięło górę: oczy jego nagle nowym ożywione bla-

skiem śmiało zwróciły się na wojownika, u którego choć w ostatniej chwili chciał zjednać dobre mniemanie. Powstał szybko i rozkrywając piersi patrzał bez drżenia na nóż błyszczący w ręku nieubłaganego wodza. Można było nawet dostrzedz uśmiech na jego twarzy, kiedy zabójcze ostrze powoli wchodziło mu w piersi; jak gdyby rad był że mniej okrótną śmiercią przyszło mu zginąć, niżeli się spodziewał. Nakoniec padł bez czucia prawie pod nogi Unkasa.

Stara niewiasta wydała wycie płaczliwe, i zgasiła pochodnię rzucając na ziemię. Ciemność nagle ogarnęła całą chatę, wszyscy pędem z niej wybiegli jak zaklęte duchy i Dunkan mniemał, że został sam jeden obok drgającej jeszcze ofiary indyjskiego sądu.

ROZDZIAŁ VII.

„Mędrzec zakończył mowę; a królewska rada
Rozchodzi się natychmiast; wnet ma bydź spełniono,
Co wyrokiem mocarzy teraz uchwalono.“

Pope.

Nim upłynęła chwila, Hejward przekonał się że niebył samotnym w domu rady. Jakaś ręka silnie ścisnęła go za ramię i poznał głos Unkasa cicho mówiącego mu na ucho:

— Huronowie psy. Widok brwi podłej niezdoła nigdy zatrwożyć wojownika. Głowa Siwa i Sagamor są w bezpieczném schronieniu. Nie śpi strzelba Sokolego Oka. Wychodź ztąd: Unkas i Dłoń Otwarta powinni okazywać się obcymi jeden dla drugiego. Ani słowa więcej!

Dunkan radby był innych jeszcze powziąść wiadomości; lecz przyjaciel mocno chociaż łagodnie popychając go ku drzwiom, przestrzegł jak w porę o niebezpieczeństwie, które spotkałoby obu, gdyby odkryto wzajemną ich znajomość.

Ulegając zatém potrzebie, wyszedł natychmiast i wmięszał się pomiędzy tłum otaczający chatę. Przygasłe już ogniska rzucały tylko słabe i posępne światło na gromady dzikich rozsypane tu i ówdzie. Niekiedy jednak żywy płomyk wybuchał nagle i blask jego przelotny sięgał aż we wnątrz wielkiej budy, gdzie Unkas sam jeden, w jednakiej postawie, stał nad trupem świeżo zamordowanego Hurona. Wtém przyszło kilku wojowników i wziąwszy zwłoki poniosło do lasu, bądź żeby je pogrześć, bądź żeby oddać na pastwę zwierząt drapieżnych,

Tymczasem Dunkan w nadziei znalezienia jakiegokolwiek śladu tej, co była przed-

miotem azardownych jego starań, wstępował do wielu mieszkań tak swobodnie, że nietylko nie czyniono mu żadnych zapytań, lecz nawet nikt nań nie zwracał uwagi. W obecnêm usposobieniu umysłów całego pokolenia łatwo mu było, byleby chciał tylko, ujść do lasu i połączyć się z towarzyszami wyprawy; lecz oprócz ciągle dręczącej niespokojności o los Aliny, nowy, chociaż mniej mocny powod, zatrzymywał go wpośrzód Huronów.

Chodził więc czas niejakiś od chaty do chaty mocno zmartwiony daremnêm poszukiwaniem; nakoniec postanowił wrócić do domu rady, spodziewając się znaleść tam Dawida i powziąść od niego jakąkolwiek wiadomość, którąby położyła koniec coraz doległiwszej niepewności.

Przybywszy do wielkiej chaty, która przed chwilą była izbą sądową i placem kary, znalazł w niej wiele osob, a na wszystkich twarzach spokojność zupełną. Wo-

jownicy zgromadzeni tu powtórnie, palili lulki i rozmawiali poważnie o zdarzeniach zaszłych podczas wzięcia twierdzy William Henryka. Chociaż ukazanie się Hejwarda powinno byłoby przypomnieć im podejrzany nieco powód jego odwiedzin, na nikim jednak nie sprawiło widocznego wrażenia. Sądząc zatém, że okropne i niedawne widowisko sprzyjało jego zamiarom, umyślił niezaniechać żadnej zręczności korzystania z tak niespodziewanego trafu.

Wszedł krokiem pewnym i usiadł poważnie, a spojrzenie rzucone ukradkiem, przekonało go, że się Dawid nieznajdował tutaj. Unkas był na swojém miejscu nie obwarowany niczém: jeden tylko młody Huron siedzący niedaleko miał na niego baczne oko, a wojownik uzbrojony stał blizko drzwi oparty o ścianę. Zresztą ze wszech miar niewolnik zdawał się bydź swobodnym; wzbroniono mu było wszakże wdawać się w rozmowę i martwa nieruchomość czy-

niła go bardziej podobnym do pięknego posągu, niżeli do żyjącej istoty.

Hejward mając przed oczyma swieży przykład okrócieństwa narodu, w którego ręce oddał się dobrowolnie, lękał się nawet żeby nie zdradzić siebie przez zbyteczne okazywanie ufności i dla tego wołałby milczeć niż bydź wprowadzonym w rozmowę. Lecz jak na przekor roztropnym jego życzeniom, wszyscy obecni inaczej byli usposobieni. Zaledwo przepędził kilka minut w nieco przyćmionym kącie, gdzie przez ostróżność obrał sobie miejsce, stary wódz jeden siedzący przy nim, przemówił do niego po francuzku:

— Mój ojciec kanadyjski nie zapomina o swoich dzieciach i ja dziękuję mu za to. Zły duch mieszka w żonie jednego z młodych wojowników moich. Uczony cudzoziemiec czy nie potrafi go wygnać?

Hejward umiał trochę kuglarstw, jakich używają szarlatani indyjscy, kiedy kto z ich

narodu mniema się bydź nawiedzonym od złego ducha. Przewidział natychmiast że okoliczność ta może sprzyjać jego zamiarom i uradował się niezmiernie z tego wezwania. Pamiętając jednak ile przybrany stan jego wymagał powagi, pohamował wewnętrzne wzruszenie i odpowiedział z miną tajemniczą stosowną do swej roli:

— Są *duchy* rozmaitego gatunku: jedne ustępują mocy mądrości, drugie się jej opierają.

— Mój krat, wielki lekarz, — rzekł Indyanin; — niech więc sprobuje.

Poważne skinienie głowy, było całą odpowiedzią ze strony Hejwarda. Huron przestał na tém i znowu wziąwszy lulkę czekał przyzwoitej pory do wyjścia. Niecierpliwy Hejward przeklinał w duszy poważne zwyczaje dzikich, lecz musiał jednak okazywać się tak obojętnym jak stary wódz, który wszakże był ojcem mniemanej nawiedzonej.

Dziesięć minut upłynęło, a krótki ten przeciąg czasu wydał się całym wiekiem dla majora pragnącego zacząć czém prędzej pierwszą praktykę lekarską. Nakoniec Huron porzucił lulkę i otuliwszy na piersiach kalikotową płachtę, zabierał się opuścić dom rady. Ale w tém wojownik wysokiego wzrostu wszedł do chaty i usiadł obok Hejwarda na tejże samej wiązce gałęzi. Dunkan rzucił ukośne spojrzenie i zadrżał cały postrzegłszy Maguę.

Niespodziewane przybycie wodza sławnego w narodzie z przebiegłości i okrócieństwa wstrzymało starca. Usiadł na swojém miejscu i podobnie jak wielu innych znowu wziął lulkę. Magua także nałożył tytuniu i zaczął palić tak obojętnie i spokojnie, jak gdyby był tu od dawna i nie przepędził dwóch dni na mordującém polowaniu.

Kwadrans czasu długi dla majora jak wieczność upłynął tym sposobem. Wojowni-

cy milczeli otoczeni gęstym dymem; nakoniec jeden z nich przemówił do nowoprzybyłego: — Magua czy znalazł łosiów?

— Młodzi wojownicy moi uginają się pod ciężarem, — odpowiedział zapytany; — niech Trzcina Powiewna pójdzie im w pomoc.

Imie to, którego niewolno już było wymówić w pokoleniu, wytrąciło wszystkim z ust cybuchy jak gdyby nagle dym tytuniu przemienił się w wyziewy nieczyste. Głęboka i ponura cichość nastąpiła w całém zgromadzeniu; piramidalne słupy dymu unosząc się ku otworowi zrobionemu w dachu, przestały snuć się po za ziemi i jaśniejszy blask pochodni padł na ciemne twarze wodzów.

Wszyscy trzymali oczy w dół spuszczone, kilku tylko z młodzieży zwróciło spojrzenie na osiwiałego starca siędzącego między dwóma najznamienitszemi wodzami. Nic jednak nie było w nim takiego, coby mogło ściągnąć szczególniejszą

uwagę. Miał minę posępną i zmartwioną, a odzież pospolitego Indyanina. P 'obnie jak wielu innych patrzał w ziemię; lecz gdy podniosłszy oczy na chwilę, rzucił wzrok w koło i ujrzał że był przedmiotem ciekawości powszechnej, powstał szybko i przerwał milczenie w te słowa:

— Kłamstwo! Ja nie miałem syna. Ten co się mym synem nazywał, już jest zapomniany. Krew jego była blada i nie pochodziła z żył Hurona. Przeklęte Czippewy uwiedli moję skwawę. Duch wielki chciał żeby ród Wis-an-tuczów wygasł. Rad jestem nieźmiernie że się kończy na mnie. Powiedziałem.

Nieszczęśliwy ojciec rzucił wzrok w koło siebie, jak gdyby szukał oklasku w oczach słuchaczów. Ale surowy zwyczaj jego narodu wymagał zbyt cięźkiej ofiary po słabym starcu. Wyraz spojrzeń jego nie zgadzał się z dumną i przenośną mową; przyrodzenie tajemnie brało górę nad stoi-

cyzmem, wszystkie nerwy zgrzybiałej jego twarzy drgały od wewnętrznego wzruszenia. Stał przez chwilę nasycając się tryumfem okupionym tak drogo, a potém jakby nie mogąc dłużej znieść wzroku ludzi, zarzucił na głowę swoję płachtę i cichym krokiem Indyanina poszedł do swojej budy żeby tam z równie starą i strapioną towarzyszką oddać się wspólnemu żalowi.

Indyanie będąc w przekonaniu, że równie cnoty jak przywary są dziedziczne, pozwolili mu odejść nie rzekłszy ani słowa; a skoro wyszedł, jeden z wodzów przez delikatność, która mogłaby nawet bydź wzorem dla towarzystw cywilizowanych, odwrócił uwagę młodzieży od świeżego przykładu słabości, przemawiając do Magui tonem wesołym:

— Delawarowie włóczą się po naszych stronach, jak niedźwiedzie szukające ulów pełnych miodu. Ale czy kto kiedy zachwycił Hurona śpiącego?

Magua z ponurością złowrogą na czole, zawołał:

— Nigdy; to nad rzeką Delawarą mieszkają ci co noszą spodnice skwawów. Jeden z nich przyszedł aż tutaj; czy wojownicy nasi zdarli mu czuprynę?

— Nie, — odpowiedział wódz wskazując ręką Unkasa ciągle stojącego smiało i bez ruchu; — ma on dobre nogi; chociaż ręce jego są raczej do rydla niżeli do tomahawku.

Nieokazując skwapliwej ciekawości ujrzenia jeńca z nienawistnego narodu, Magua palił dalej lulkę z tą miną rozwagi jaka była mu zwyczajną, kiedy nie miał potrzeby układać się chytrze, albo używać dzikiej swej wymowy. Chociaż w istocie zadziwiła go dopiero odebrana nowina, nie zadał jednak żadnego pytania i chęć powzięcia obszerniejszych wiadomości wstrzymał do przyzwoitszej pory. Ledwo po kilku minutach, kiedy wytrząsłszy po-

pioł z lulki powstał żeby mocniej ściągnąć pas od tomahawku, zwrócił głowę w stronę i spojrzał na więźnia stojącego nieco za nim.

Unkas zdawał się głęboko zamyślony; nic jednak nie uchodziło jego baczności. Postrzegłszy poruszenie Magui zwrócił się do niego także, aby pokazać że się go nie lękał, i wzrok ich spotkał się w tej chwili. Dumni ci i nieugięci ludzie, przez parę minut wpatrywali się nawzajem nie mogąc zmusić jeden drugiego do spuszczenia oka. Zdawało się że ogień wewnętrzny pożerał młodego Mohikana: nozdrze miał rozdęte jak u tygrysa oskoczonego przez myśliwych, a postać tak dumną i wspaniałą, iż bez złudzenia wyobraźni można go było wziąść za wizerunek bożka wojny jego narodu. Twarz Magui nie mniej była zapalona; rzekłby kto z razu, że tchnął samą wściekłością i zemstą; lecz wnet powściągnął wszystkie uczucia i tylko z wy-

razem dzikiej radości zawołał głośno: — Jeleń Rączy!

Usłyszawszy to straszne i dobrze znajome imie, wojownicy zerwali się szybko i zadziwienie przemogło na chwilę stoicką spokojność Indyan. Wszystkie usta jednym głosem wykrzyknęły nienawistne i czczone przezwisko; kobiéty i dzieci skupione u drzwi, powtórzyły je jak echo; krzyki i wołania poleciały aż do najodleglejszych mieszkań; nie było nikogo ktoby z nich nie wybiegł i przeciągłe wycie rozległo się wszędy.

Tymczasem wodzowie jakby wstydząc się wzruszenia którém się unieśli, znowu zajęli swoje miejsca i siedzieli cicho; lecz wszystkich oczy wlepione w więźnia ciekawie przypatrywały się nieprzyjacielowi, którego waleczność tylu wojownikom ich narodu przyniosła zgubę.

Unkas widział w tém swój tryumf i nasycał się nim nie okazując tego inaczej, jak

tylko przez to lekkie ust ściśnienie, co było i jest we wszystkich krajach oznaką pogardy. Magua postrzegłszy wyraz jego twarzy wyciągnął rękę, i grożąc mu pięścią zawołał po angielsku:

— Mohikanie, musisz umrzeć!

— Wody ze zródła zdrowia, — odpowiedział Unkas językiem Delawarów; — nie zdołają powrócić życia Huronom poległym na górze: ich kości będą się tam bieliły. Huronowie skwawy, a ich żony sowy. Idź, zwołaj wszystkich psów Huronów; żeby widzieli wojownika. Nozdrze moje są obrażone; czuję krew tchórza.

Ostatnia ta przymówka wzbudziła gniew żywy, gdyż wielu Huronów, równie jak Magua, rozumiało język którym Unkas mówił. Przebiegły Indyanin postrzegł natychmiast że miał porę korzystać z powszechnego usposobienia umysłów, i zaraz udał się do swojej podstępnej wymowy.

Odrzuciwszy w tył skórę bawolą po-

krywającą mu barki, podniosł rękę na znak że się czuje natchnionym do mówienia i zabrał głos.

Chociaż z powodu emigracyi utracił znaczną część władzy jaką miał nad rodakami, nikt jednak nie mógł zaprzeczyć mu waleczności i powszechnie uznawano go za pierwszego mówcę w narodzie. Nie zbywało mu przeto na słuchaczach i prawie zawsze potrafiał nakłaniać innych do swojego zdania. Nadto jeszcze wrodzona jego zdolność czerpała teraz nową moc w pragnieniu zemsty. Zaczął naprzód opowiadać wypadki podczas zdobywania skały Glenu; opisał śmierć wielu towarzyszów i jakim sposobem uszedł najstraszliwszy nieprzyjaciel. Odmalował potém położenie pagórka na którym z zabranymi jeńcami popasywał; nie wspomniał o barbarzyńskich męczarniach, jakie chciał im zadać i przeszedł spiesznie

do tej chwili, kiedy Długi Karabin, Wąż Wielki i Jeleń Rączy, napadłszy niespodziewanie, pozabijali wszystkich i jego samego porzucili bez życia.

Tu uczynił przestanek niby dla opłacenia zmarłym dani żalu, lecz w istocie dla postrzeżenia jaki skutek zdziałał na słuchaczach ten wstęp jego mowy. Wszyscy z wlepionémi weń oczyma słuchali tak pilnie, iż widząc ich nieruchomość, mógł sądzić że się wpośrzód posągów znajdował.

Zniżywszy zatém głos swój dotąd czysty, dźwięczny i mocny, zaczął rozwodzić się nad rzadkiemi przymiotami nieboszczyków, nie zapominając o niczém co tylko mogło zrobić pomyślne dla niego wrażenie: jeden nigdy bez źwierzyny z polowania nie wracał; drugi umiał odkrywać ślady najchytrzejszych nieprzyjaciół; ten miał odwagę bohatérską, ów wspaniałość niezrównaną; słowem każdego pochwałę opiewał w ten sposób, iż żadnej nie trącił strony,

któraby w pokoleniu z niewielu rodzin złożoném, jednego lub kilku serc nie wzruszyła.

— I gdzież leżą kości tych wojowników?—zawołał nakoniec.—Wiecie że nie w mogiłach przodków. Duchy ich poszły w stronę zachodu słońca; dążąc teraz ku ziemi duchów przebywają wody wielkie. Ale poszły, bez żywności, bez strzelb, bez nożów, bez mokkasinów, nagie i biedne jak w chwili urodzenia. Jestżeto słusznie? Mająż oni wnijsdź do kraju sprawiedliwych jak Irokanie zgłodniali, albo Delawarowie nędzni? Mająż spotkać swoich braci bez broni w ręku, bez odzieży na grzbiecie? Cóż pomyślą ojcowie nasi widząc ich w takim stanie? Pomyślą że zwyrodniało plemię Wyandotów i spojrzawszy na nich złém okiem, rzekną: Czyppewy to jacyś przychodzą tu pod imieniem Huronów. Bracia, nienależy zapominać umarłych; człowiek czerwony nigdy ich niezapomi-

na. Obciążmy barki tego Mohikana, aż żeby się ugiął pod brzemieniem i wyszlijmy go w pogoń za nimi. Towarzysze błagają pomocy; a chociaż uszy nasze na ich głos zawarte, wołają oni ciągle: Nie zapominajcie o nas! Otoż kiedy ujrzą duch Mohikana dopędzający ich z cieżarem, przekonają się że pamiętamy o nich, spokojniej odbędą resztę drogi; a dzieci nasze powiedzą z czasem: O, co ojcowie nasi uczynili dla swoich przyjaciół, uczyńmyż to i my dla nich. Cóż znaczy Dżankes? Pobiliśmy ich niezliczone mnóstwo, a ziemia jeszcze blada. Krew Indyanina może tylko zmyć plamę spadłą na imie Huronów. Niech więc ten Delawar umiera!

Łatwo wyobrazić sobie, jaki skutek te myśli wysłowione dzielnie uczyniły na dzikich słuchaczach. Magua tak zręcznie połączył to wszystko co mogło obudzić i wrodzone skłonności i zabobonne wyobrażenia jego współziomków, że w umysłach

ich oswojonych z dawnym zwyczajem posyłania ofiar cieniom towarzyszów, wszelki ślad ludzkości zniknął przed pragnieniem zemsty.

Jeden Wojownik, którego mina wyrażała śrogość więcej niż dziką, słuchał mowcy ze szczególniejszą uwagą. Na twarzy jego malowały się wszystkie uczucia jakich doświadczał kolejno, aż póki nie został na niej jeden tylko wyraz nienawiści i rozjuszenia. Zaledwo Magua przestał mówić, zerwał się on wydając wycie tak straszne, iż można było je wziąść za głos szatana, i wzniosł nad głowę szeroką swą siekierę. Krzyk ten i zamach były tak nagłe, że gdyby kto i myślał wstrzymać jego zamiar krwawy, nikby nie miał czasu. W mgnieniu oka jeden prąg jasny przeleciał mimo pochodni, a drugi ciemny skrzyżował się z nim w powietrzu: pierwszym była siekiera lecąca do celu, drugim ręka Magui, która odtrąciła ją na stronę. Ratu-

nek ten nie został bez skutku, bo ostry bardysz uciąwszy tylko długie pióro wplecione we włosy Unkasa, przeszedł glinianą ścianę budy tak łatwo, jak gdyby z kuszy był wyrzucony.

Dunkan usłyszawszy okropny ryk barbarzyńcy, zwrócił w tę stronę oczy i poznał jego zamiar; lecz zaledwo machinalnie poruszył się z miejsca jak gdyby chciał śpieszyć na ratunek Unkasowi, już postrzegł że niebezpieczeństwo minęło i przestrach jego zamienił się w podziwienie. Młody Mohikan nie okazał najmniejszego znaku obawy, nie zmrużył nawet oka ciągle utkwionego w nieprzyjaciela; uśmiechnął się tylko z politowaniem niby i wymówił w swoim języku kilka wyrażeń pogardy.

— Nie; — zawołał Magua, zapewniwszy się wprzód że więzień nie został raniony; — trzeba żeby słońce oświeciło jego hańbę; żeby skwawy widziały jego drżenie i wspólnie z nami zadawały mu męczarnie; ina-

czej zemsta nasza byłaby tylko zabawką dziecinną. Zaprowadzić go na miejsce ciemności i milczenia! Obaczémy, czy Delawar potrafi spać dzisiaj, a umrzeć jutro.

Młodzi wojownicy chwycili jeńca i skrępowawszy go powrozami łyczannemi, wyprowadzili z chaty. Unkas poszedł ku drzwiom krokiem śmiałym, lecz u progu zatrzymał się nieco, jak gdyby zachwiało się jego męztwo. Było to wszakże dla tego tylko, żeby raz jeszcze rzucić na całe zgromadzenie wzrok wzgardy i dumy. Oczy jego spotkały się z oczyma Dunkana i zdawało się że chciały mu powiedzieć: jeszcze nie zupełnie zginęła nadzieja.

Magua kontent z tego co dokazał, albo może zajęty układaniem dalszych projektów, nie zapytał więcej o nic i zakrzyżowawszy na piersiach skórę pokrywającą mu barki, wyszedł nie rzekłszy ani słowa o przedmiocie, który mógłby stać się niebezpiecznym siedzącemu obok niego.

Mimo co raz gwałtowniejsze uczucie gniewu, wrodzone męztwo i niespokojność o los Unkasa, Hejward doświadczył niejakiejś ulgi, skoro oddalił się tak straszny i przebiegły nieprzyjaciel. Wzruszenie też będące skutkiem mowy Chytrego Lisa, zaczęło się uśmierzać. Wojownicy powrócili na swoje miejsca i znowu obłoki dymu napełniły izbę. Więcej niż przez pół godziny, nikt nie wymówił słowa, nikt prawie nie podniosł oka, nastało ciche i poważne milczenie, jakiemu lud ten porywczy i zimny razem, oddaje się zwykle po gwałtownych i burzliwych wypadkach.

Nakoniec wódz, który wzywał lekarskiej pomocy Dunkana, wypaliwszy lulkę, powstał cicho i skinieniem palca dał mu znak żeby szedł za nim. Hejward dla wielu przyczyn z radością opuścił zadymioną chatę, bo prócz ważniejszych powodów, oddawna żądał odetchnąć czystém powietrzem pogodnego wieczoru.

Towarzysz jego nie zwracając się ku mieszkaniom, które już major nadaremno zwiedził, udał się prosto do podnoża najbliższej góry, pokrytej lasem i panującej nad obozem Huronów. Ponieważ zaś gęste zarosle otaczały ją z tej strony, musieli iść wązką i krętą ścieszką. Dzieci znowu rozpoczęły swoje zabawy i uzbrojone w gałęzie, uformowały dwa szeregi, pomiędzy które każde z nich kolejno musiało biedz największym pędem do obrończego słupa.

Dla zupełniejszego naśladowania zapaliły także wiele stosów na dolinie, a blask płomieni przyświecając w drodze Dunkanowi, nadawał razem dzikszy i posępniejszy charakter okolicznym widokom. Właśnie kiedy Indyanin z mniemanym lekarzem weszli na małą drożynę udeptaną przez daniele podczas peryodycznych ich przechodów, chrust swieżo przyrzucony do najbliższego stosu nagle zajął się ogniem, i blask odbity o białawą skałę na przeciw nich

sterczącą, pozwolił im postrzedz jakąś bryłę czarną o kilkanaście kroków będącą przed nimi na samej drodze.

Indyanin zatrzymał się nieco jak gdyby wahał się czyli miał iść dalej, a bryła dotąd nieruchoma zaczęła dzwigać się w sposób dziwny dla Dunkana. Nowy wybuch ognia mocno zajaśniał w tej chwili i Hejward wyraźnie już poznał kształt niedźwiedzia. Zwierz ten był ogromny i straszny, lecz chociaż mruczał gniewliwie, nie okazywał żadnego znaku zapowiadającego napaść, owszem usunąwszy się w stronę usiadł przy drodze na tylnych łapach. Huron przypatrzył mu się z największą uwagą i zapewne przekonany że się nie miał czego obawiać, spokojnie ruszył naprzód.

Dunkan wiedząc że Indyanie często wychowywali przy sobie niedźwiedzie, poszedł za towarzyszem uspokojony domysłem, iż to był także jakiś faworyt pokolenia, któ-

ry przez wrodzone tym zwierzętom łakomstwo do miodu, wędrował sobie po lesie szukając pszczół dzikich.

Kiedy pomijali go o parę kroków, nie uczynił ani zaczepki ani oporu, i Huron co się wprzódy wahał czy miał iśdź dalej i przypatrywał mu się z taką uwagą, przeszedł teraz mimo niego bez najmniejszej obawy, nie rzuciwszy nawet spojrzenia w tę stronę. Dunkan jednak ciągle mając się na baczności, ozierał się co raz i z niejakiémś zatrwożeniem postrzegłszy że niedzwiedź szedł za nimi, chciał już ostrzedz Indyanina, lecz ten właśnie w tej chwili otworzył drzwi zrobione z kory, wstąpił do jaskini ręką przyrodzenia wydrążonej pod górą i dał znak jemu żeby szedł za nim.

Hejward rad ze schronienia zdarzonego jak wporę, pośpieszył w głąb groty i szybko chciał drzwi zamknąć, lecz poczuwszy jakąś zawadę obejrzał się raz jeszcze i po-

strzegł łapę niedźwiedzia, który wnet wsunął się za nim. Przejście było wązkie i ciemne, a straszny mieszkaniec lasów nie zostawiał nawet miejsca do cofnienia się na powrót. Nie mając za tém innego sposobu do wyboru, major ile możności starał się nieodstępować przewodnika i szedł dalej, chociaż niedźwieć pomrukiwał często, a niekiedy grabał mu po grzbiecie ogromną swą łapą, jak gdyby chciał go zatrzymać.

Trudno jest zaręczyć, czy Hejward zniosłby dłużej tak przykre położenie, gdyby wkrótce nie doznał ulgi. Po dwóch lub trzech minutach dążenia w prostym kierunku do miejsca, gdzie tlało slabe światełko, ukazał się cel podziemnej wyprawy. Rozległa jaskinia w skale, rozdzielona kunsztownie na kilka części przepierzeniem z kory gliny i chrustu, służyła za skład żywności, broni i najdroższych sprzętów, a mianowicie tych rzeczy, co nie były niczyją

własnością wyłączną, lecz wspólną całego narodu Huronów. Swiatło wciskające się przez rozpadliny sklepienia, oświecało loch ten we dnie, a w nocy zastępował je blask pochodni. Kobiéta dotknięta chorobą, czyli jak mniemano, siłą nadprzyrodzoną, była umieszczona tutaj, ponieważ sądzono że zły duch co ją dręczył, nie tak łatwo mógł dostąpić do niej przez głazy jaskini, jak przez chrustowy dach zwyczajnej budy. Leżała ona w pierwszym oddziale groty na łożu z suchego liścia usłaném: otaczał ją tłum niewiast, a pośrzód nich major z zadziwieniem postrzegł Dawida Gammę.

Jedno spojrzenie przekonało mniemanego lekarza, że stan pacyentki nie zostawiał mu pola do popisania się z sztuką, chociażby ją rzeczywiście posiadał. Chora dotknięta paraliżem leżała bez mowy i ruchu, a nawet bez najmniejszego czucia cierpień. Hejward jednak miał przynajmniej stąd tę ulgę, że wtenczas był zmu-

szony przybierać dziwaczne miny dla odegrania swojej roli w oczach Indyan, kiedy ani podobna było spodziewać się skutecznego ratunku. Myśl ta uspokoiła w nim niektóre szkrupuły sumienia i już zabierał się do swojej czynności czarodziejsko lekarskiej, lecz go uprzedził równie biegły w sztuce ozdrawiania cudotwórca.

Dawid przed wejściem ojca chorej i Dunkana gotujący się już sprobować potęgi psalmów, wstrzymał się był na chwilę za ich przybyciem, a teraz podniosłszy głos, zaintonował hymn święty z takim zapałem, że pewnoby cud sprawił, gdyby do uleczenia nie trzeba było niczego więcej, prócz mocnej wiary w dzielność tego lekarstwa. Nikt mu nie przerywał; bo Indyanie mniemali, że słabość umysłu zapewniała mu szczególną opieką Nieba, a Dunkan bardzo był rad z tej przewłoki. Kiedy śpiewak uczynił przestanek na o-

statnim rymie pierwszej sztrofy, major zadrżał słysząc w tejże chwili podobny wyraz grobowym i nieludzkim powtórzony głosem, a obejrzawszy się szybko postrzegł w najciemniejszym kącie jaskini niedźwiedzia, który siedząc na tylnych łapach, wahał się w sposób tym zwierzętom właściwy i głuchém mruczeniem naśladowal tony psalmisty.

Łatwiej jest wyobrazić niż opisać, jakie wrażenie uczyniło na Dawidzie to dziwne i niespodziewane echo. Oczy i usta jego zostały otworzone, lecz głos oniemiał nagle. Przestrach, zdziwienie, trwoga, tak mu odebrały przytomność, że zapomniawszy o ważnych uwiadomieniach, które przygotował w myśli dla Hejwarda, z pośpiechem zawołał tylko po angielsku: — Ona czeka; ona jest tutaj! — i uciekł z jaskini.

ROZDZIAŁ VIII.

— „Czy przepisałeś rolę Lwa? daj mi ją zaraz, bo mam pamięć bardzo tępą.“

— „Potrafisz zagrać bez przygotowania, bo tylko ryczeć potrzeba.“

Szekspir.

Widok łoża śmiertelnego ma zawsze niejakąś uroczystość, lecz w dopiero opisanem zdarzeniu mięszał się do niej pewien rodzaj śmieszności. Niedźwiedź lubo przestał przedrzezniać śpiew Dawida, skoro ten wyrzekł się wszystkiego i szarpnął w nogi, ciągle jednak siedząc w kącie, wahał się to na jedną to na drugą stronę. Ostatnie słowa Dawida: Ona czeka! Ona jest tutaj! jako wymówione po angielsku, były zrozumiałe tylko dla majora i ścią-

gnęły jego uwagę. Domyślając się że miały jakieś tajemne znaczenie, oglądał się on w koło i nie mógł nic postrzedz, coby go objaśniło.

Ale nie wiele miał czasu na robienie domysłów: wódz huroński zbliżył się do łoża chorej i dał znak kobietom żeby odeszły. Ciekawa gromada mimo żywą chęć widzenia jakim sposobem cudzoziemski lekarz miał zaklinać chorobę, musiała uledz rozkazowi, a skoro niewiasty oddaliły się wszystkie i dał się słyszeć ostatni stuk drzwi zamkniętych, Indyanin rzekł do Hejwarda:

— Teraz mój brat niechaj okaże swoję władzę.

Wezwany tak wyraźnie Dunkan, lękał się aby najmniejsza zwłoka nie stała się mu niebezpieczną, i zebrawszy na prędce roztargnione myśli, zaraz uciekł się do naśladowania tych zaklęć i obrządków dziwacznych, jakimi szarlatani Indyjscy zwy-

kli łudzić ciemnych swych współbraci. Lecz zaledwo począł, przerwał mu niedźwieć groźnem mruczeniem. Po chwili probował raz drugi i trzeci, ale zawsze odnawiała się taż sama groźba z wzrastającą srogością.

—Uczeni są zazdrośni,—rzecze Huron,— nie lubią oni mieć świadków; idę więc i zostawuję was samych. Bracie, kobiéta ta jest żoną najwaleczniejszego wojownika: wypędź z niej czém prędzej ducha który ją dręczy. Cicho! cicho! — dodał potém obróciwszy się do niedźwiedzia mruczącego ciągle, — idę już idę.

Huron wyszedł śpiesznie, a Dunkan pozostał w podziemnej jaskini z umierającą niewiastą i niebezpiecznym zwierzem. Niedźwiedź umilkł i słuchał szelestu kroków odchodzącego Indyanina,ze zmyślnością właściwą temu rodzajowi stworzeń. Nakoniec gdy skrzypnienie drzwi upewniło, że się oddalił, zwolna przysunął się do Hej-

warda, wspiął się słupem i stanął przed nim na tylnych łapach. Dunkan rzucał wzrok na wszystkie strony szukając jakiejkolwiek broni na przypadek napaści spodziewanej lada chwila, lecz nie mógł znaleść ani kija.

Zdawało się jednak że humor niedźwiedzia zmienił się nagle: nie mruczał już więcej i nie okazywał żadnego znaku gniewu, a zamiast jednostajnego chwiania się w obie strony, cała jego skóra kosmata wstrzęsła się jakimś gwałtownym wewnętrznym ruchem. Objął potém przedniemi łapami swoję głowę, zaczął targać ją silnie i kiedy Hejward patrzał na to osłupiały z zadziwienia, głowa upadła mu pod nogi, a na jej miejscu ukazała się twarz poczciwego strzelca ożywiona właściwym jemu cichym śmiechem.

— Cyt!—szepnął Sokole Oko uprzedzając Dunkana, żeby nie wykrzyknął na widok tak dziwnej przemiany; —łotry te są

niedaleko i gdyby usłyszeli głos jaki nie bardzo podobny do zaklęć czarodziejskich, zarazby rzucili się na nas.

— Ale powiedź mi mój zacny przyjacielu, co znaczy ta maskarada, i co cię skłoniło do tak niebezpiecznego kroku?

— Przypadek, który nie raz więcej czyni niż przewidzenie i usilność. Ale ponieważ każdą historyą należy zaczynać od początku, opowiem porządnie wszystko jak było. Po rozstaniu się z panem, ukryłem komendanta i Sagamora w starej chatce bobrowej, gdzie mniej powinni lękać się Huronów, niż gdyby byli wśrzód załogi twierdzy Edwarda, bo nasi Indyanie zachodnio północni, nie bardzo jeszcze posiabrowani z kupcami, zachowują staroświeckie poszanowanie dla bobrów; potém z Unkasem podług ułożonego planu poszliśmy na wzwiady pod drugi oboz. Ale otoż właśnie, czy widziałeś pan jego?

— Na nieszczęście, widziałem. Jest teraz w więzieniu, a jutro rano ma zginąć.

— Przeczuwałem że tak będzie, — rzecze strzelec tonem mniej wesołym i pewnym, lecz odzyskując natychmiast zwykłe swe męztwo, dodał: — I tożto jest właśnie istotna przyczyna, dla której pan mię tu widzisz; bo jakże można zostawić Huronom tak tęgiego chłopca! O! ja wiem coby to była za radość tym łotrom, żeby mogli przy jednym słupie plece z plecami uwiązać Jelenia Rączego i Długi Karabin, jak mię nazywają! Ale tymczasem powiedz mi pan, nie mogę pojąć dla czego oni dali mi to przezwisko, kiedy taka jest różnica między moją danielówką a prawdziwym karabinem, jaka między krzemieniem a gliną?

— Mów dalej bez wyboczeń: lada moment Huronowie nadejść mogą.

— Nie lękaj się pan tego: wiedzą oni, że czarownikowi trzeba dać czasu do u-

skutecznienia czarów. Tak jesteśmy pewni że nam nikt nieprzeszkodzi, jak Missyonarz w osadach, kiedy na całe dwie godziny zabiera się prawić kazanie. No, otoż wracam do rzeczy: Niedaleko obozu napotkaliśmy bandę tych łotrów powracających z wojny: Unkas zawsze zbyt niecierpliwy na wzwiadach; ale w tym razie nie mogę mu przyganiać zbytniego zapału. Popędził się za Huronem, który jak tchórz uciekał i wprowadził go na zasadzkę.

— Łotr ten przypłacił za swoję nikczemność.

— Tak jest, domyślam się i bynajmniej mię to nie dziwi; u nich tak zwyczajnie. Ale co do mnie, nie mam potrzeby mówić panu, że kiedy postrzegłem mojego towarzysza w ręku Huronów, nie opuściłem jego i chociaż z ostróżnością przyzwoitą poszedłem śladem nieprzyjacioł. Miałem nawet dwie utarczki z dwóma lub trzema tymi hultajami; ale nie o to rzecz idzie.

Wsadziwszy każdemu z nich w łeb po jednej kuli, cichutenko podpełzłem do obozu. Przypadek .... lecz zacóż nazywać przypadkiem szczególną łaskę Opatrzności? zrządzenie niebios raczej, zaprowadziło mię na miejsce, gdzie jeden z ich kuglarzy uzbrajał się, jak oni powiadają, do wydania walnej bitwy szatanowi. Wyciąwszy go porządnie w łeb kolbą, uśpiłem na czas niejakiś, a żeby nie miał chęci poziewać głośno kiedy się ocknie ze snu, na wieczerzę włożyłem mu w gębę i uwiązałem koło szyi spory sęk sosnowy. Przykrępowawszy potém samego do drzewa, wziąłem jego ubior i postanowiłem sprobować, jak mi się też uda odegrać rolę niedźwiedzia.

— Odegrałeś ją wybornie; nie można lepiej.

— Człowiek co się tak długo na pustyni uczył, byłby najtępszym nieukiem, gdyby nie potrafił naśladować głosu i ruchow niedźwiedzia. Żeby to przyszło

udawać dzikiego kota albo panterę, wtenczasbyś pan zobaczył cóś godniejszego zastanowienia; ale dzwigać się w sposób niezgrabny tak ciężkiego źwierza, to nie wielka osobliwość. Z tém wszystkiem, wszakże i rolę niedźwiedzia można zgrać nic do rzeczy, bo łatwiej jest przesadzać niżeli bydź wiernym w naśladowaniu natury, a to nie wszystkim wiadomo. Ale wróćmy się do tego, co nas zajmować powinno. Gdzie jest panienka?

— Bóg wie. Zwiedziłem wszystkie mieszkania Huronów i nic mi nie zapowiada, żeby ona była w ich obozie.

— Słyszałeś pan co śpiewak powiedział uciekając z jaskini? Ona czeka. Ona jest tutaj.

— Mnie się zdawało że on mówił o tej kobiecie, która tu czeka ode mnie ratunku, którego jej dać nie mogę.

— Głupiec ten, ze strachu nie mógł się wytłumaczyć dobrze. Pewno jednak my-

ślał natenczas o córce naszego komendanta. Patrz pan, o to jest przepierzenie. Niedźwieć powinien umieć łazić bez drabiny; zajrzyjmy co tam jest za tą ścianą: może jaki ul z miodem, a wszakże pan wiesz że jestem źwierzęciem łakomém na słodycze.

To mówiąc strzelec przybliżył się do przepierzenia ciężkim i niezgrabnym krokiem niedźwiedzia, z łatwością wspiął się do pewnej wysokości, a potém dawszy znak majorowi żeby milczał, bez szelestu zsunął się na dół.

— Ona jest tam, — rzecze pocichu, — i pan możesz przez te drzwi wejśdź do niej. Chciałem jej powiedzieć słówko pocieszające, ale lękałem się żeby na widok takiego potworu niestraciła zmysłów; chociaż i pan major z łaski swojego malowidła nie lepiej wyglądasz teraz.

Dunkan będący już u drzwi, zatrzymał się na te niepocieszne słowa.

— To więc tak jestem straszny? — zapytał z umartwieniem widocznem.

— Nie tak wprawdzie żeby przepłoszyć wilka, albo podczas ataku półk do ucieczki zmusić,— odpowiedział Sokole Oko,— bez pochlebstwa jednak powiedzieć mogę, że był czas kiedy pan lepszą miałeś minę. Skwawy Indyjskie nie miałyby nic do zarzucenia pstrociznie pańskiej twarzy, ale dziewczęta białe lepiej lubią czystą białość. Patrz pan tam, — dodał ukazując na miejsce gdzie woda tryskająca z rozczepu skały, kryształowym strumykiem uchodziła przez inny otwór podobny; — nic trudnego pozbyć się tej ozdoby, którą pana Sagamor upiękrzył, a potém ja sam przysłużę się nowém malowidłem Bądź pan spokojny: nie raz się zdarza, że szarlatani podczas swojej czynności czarodziejskiej, zmieniają ukraszenie twarzy.

Strzelec nie miał potrzeby wysilać się dłużej na zachęcające dowody, bo nim to

powiedział, już Dunkan kończył zmywać resztki farb stanowiących jego maskę. Przygotowawszy się tym sposobem do widzenia się z kochanką, pożegnał towarzysza i znikł za wskazanémi sobie drzwiami.

Sokole Oko zalecił mu nie tracić wiele czasu na próżnej rozmowie, z ukontentowaniem spojrzał na odchodzącego, a potém zajął się przeglądaniem spiżarni Huronów, gdyż jakeśmy już powiedzieli, jaskinia była magazynem żywności całego pokolenia.

Dunkan znalazł się naprzód w ciasném i ciemném przejściu, lecz światełko błyszczące po prawej ręce, było dla niego gwiazdą polarną i wprowadziło go do drugiej groty przeznaczonej na więzienie niewolnicy tak znakomitej, jaką była córka komendanta nieprzyjacielskiej twierdzy. Mnóstwo rzeczy zrabowanych podczas zdobycia William Henryka, walało się tu na ziemi: odzienie, broń, materye w sztukach,

paki, tłomoki, kufry rozmaitego kształtu, wszystko to leżało zrzucone nieładem. Wsrzód tych gratów, siedziała Alina blada, drżąca, niespokojna, ale już uwiadomiona przez Dawida o przybyciu Hejwarda do Huronów.

— Dunkan! — zawołała postrzegłszy go i wstrzęsła się jakby przerażona dzwiękiem własnego głosu.

— Alino! — odpowiedział tylko major, i lekko przeskakując zawady walające się pod nogami, przybiegł do niej.

— Byłam pewna Dunkanie, że ty mię nie opuścisz nigdy, — rzecze znowu wzruszona i przez to bardziej jeszcze czarująca piękność; — ale nie widzę z tobą więcej nikogo, i jakkolwiek obecność twoja jest dla mnie przyjemną, chciałabym przytem żebyś nie był tu sam jeden.

Hejward widząc że dla mocnego wzruszenia prawie nie mogła utrzymać się na nogach, radził jej usiąsdź, a potem w krót-

kości opowiedział wszystkie wypadki wiadome już czytelnikom. Alina słuchała go z tak żywém uczuciem, że wzdęte jej piersi ledwo oddychać były zdolne, a chociaż major nie rozwodził się nad rospaczą Munra, rzewne łzy zalały piękne jej lica. Żal jednak uśmierzając się powoli, zostawił miejsce jeżeli nie pogodnej spokojności, to przynajmniej pilne uwadze..

— A teraz Alino, — dodał Hejward nakoniec, — wybawienie twoje po większej części zależy od ciebie samej. Za pomocą nieocenionego naszego przyjaciela, strzelca, możemy ujść rąk barbarzyńców, ale potrzeba żebyś się uzbroiła w całą odwagę. Pomyśl że rzucisz się w objęcia twojego ojca, a szczęście twoje i jego zależy od twojego męztwa.

— Czegożbym nie uczyniła dla ojca, który dla mnie tyle uczynił!

— A ja czy nic niemogę spodziewać się od ciebie, Alino?

Spojrzenie pełne niewinności i zadziwienia, odpowiedziało Hejwardowi, że się powinien był jaśniej wytłumaczyć.

— Nie jest tu ani czas ani miejsce, oświadczać tobie, droga Alino, moich życzeń zbyt śmiałych może; ale czyjeż serce udręczone tyle co moje, nieszukałoby jakiejkolwiek pociechy! Powiadają, że nie masz mocniejszego węzła nad wspólne nieszczęście, i to cośmy razem z twoim ojcem od czasu waszego zabrania ucierpieli, zdolne było doprowadzić do zwierzenia się wzajemnego.

— A Kora, Dunkanie! moja kochana Kora; czyliż ona zapomniana!

— Zapomniana! o pewno że nie. Któżby jej nie opłakiwał i nie żałował ile tego warta? Dobry wasz ojciec nie czyni żadnej różnicy między swojemi dziećmi; ale co do mnie... Czy nie obrazisz się A-

lino kiedy powiem prawdę, że oddaję pierwszeństwo....

— Bo nie oddajesz jej słuszności, — zawołała Alina cofając rękę z dłoni majora; — ona zawsze o tobie wspomina jak o najdroższym przyjacielu.

— I ja też jestem jej przyjacielem; pragnę nawet bydź bliższą jeszcze osobą dla niej. Ale twój ojciec, Alino, pozwolił mi cieszyć się nadzieją, że słodszy i świętszy węzeł połączy mię z tobą.

Przejęta nagle wzruszeniem właściwém jej płci i wiekowi, Alina wezdrgnęłę się i na chwilę odwróciła w bok głowę; ale prawie natychmiast odzyskując władzę nad sobą, rzuciła na kochanka tkliwe spojrzenie szczérej niewinności.

— Hejwardzie, — rzecze, — powróć mię ojcu i pozwól wprzód uszłyszeć z ust jego zezwolenie, nim powiesz mi więcej.

— I czy mogłemże mniej teraz powiedzieć? — zapytał major; a w tém poczu-

wszy lekkie uderzenie po ramieniu, obejrzał się śpiesznie i spotkał wzrok okrótnego Magui zaiskrzony piekielną radością. Gdyby nie zdołał powściągnąć pierwszego popędu, byłby rzucił się na dzikiego i najdroższe nadzieje powierzył niepewnemu losowi walki śmiertelnej. Lecz był bezbrony, a Huron uzbrojony w nóż i tomakawk, mógł nadto jeszcze mieć ukrytych towarzyszy do pomocy; lękając się więc bez obrońcy zostawić tej, co mu dopiero stała się milszą niż kiedykolwiek była, poszedł za rozwagą i nie usłuchał natchnienia rozpaczy.

— Czego jeszcze chcesz ode mnie? — odezwała się Alina krzyżując ręce na piersiach i starając się najżywszą obawę o Hejwarda, ukryć pod pozorem zimnej dumy, z jaką zawsze przyjmowała barbarzyńcę, który ją wydarł ojcu.

Indyanin zajęty już pracą w celu przecięcia wszelkiego sposobu ucieczki, spoj-

rzał tylko groźnie na dwoje nieszczęśliwych jeńców, i spokojnie dźwigając rozmaite ciężary, jako to, skrzynie, kufry i ogromne kłody, które przy nadzwyczajnej swej sile ledwo mógł ruszyć z miejsca, zawalał niemi drzwi przeciwległe tym, przez które Hejward wszedł tutaj.

Dunkan zrozumiał natenczas jakim sposobem został zachwycony i straciwszy nadzieję ratunku, przytulił Alinę do serca, prawie nie żałując życia, kiedy ostatnie spojrzenia jego mogły bydź na nią zwrócone. Magua jednak nie miał zamiaru tak prędko zakończyć męki nowego więźnia, i dla tego myśląc jedynie o położeniu zapory przewyższającej siły obojga jeńców, pracował dalej nie racząc nawet spojrzeć na nich powtórnie. Major utrzymując Alinę nie mogącą stać o swej mocy, śledził oczyma wszystkie poruszenia Hurona; lecz nadto był dumny i rozgniewany, aby miał

błagać o listość nieprzyjaciela, którego znał nieugięte okrócieństwo.

Dziki zapewniwszy się że jeńcy w żaden sposób ujść nie mogli, obrócił się do nich i rzekł po angielsku:

— Twarz blada umie złapać w samołowkę ostróżnego bobra; ale człowiek czerwony umie złapać i trzymać Twarz blada.

— Rób co chcesz nędzniku! — zawołał major zapominając w tej chwili, że nie dla siebie tylko powinien był dbać o życie; — pogardzam równie tobą jak twoją zemstą.

— Czy oficer angielski jutro u słupa będzie mówił tak samo? — zapytał Magua z ironiją dającą do zrozumienia, że powątpiewał o wytrwałości białego na męczarnie tortur.

— I tu w oczy tobie, i przed całym twoim narodem! — zawołał Hejward.

— Lis Chytry wielki wódz, — odpowiedział Huron; — pójdzie on po swoich wojowników młodych, żeby zobaczyli jak mężnie Twarz blada umie znosić męczarnie.

To rzekłszy zawrócił się i poszedł ku drzwiom, kędy Dunkan był wszedł do tego oddziału jaskini; lecz znalazł je zajęte przez niedźwiedzia, który siedział wahając się swoim sposobem i mrucząc gniewliwie. Magua zatrzymał się trochę i podobnież jak ten Indyanin co wprowadził tu Hejwarda, przypatrzywszy się pilnie, poznał przebranego kuglarza.

Długie obcowanie z Anglikami, pozbawiło go wielu przesądów pospolitych w jego narodzie. Nie mając zatém wielkiego poszanowania dla mniemanego czarnoxiężnika, spojrzał nań wzgardliwie i chciał pominąć; ale niedźwiedź nasrożył się i zamruczał groźniej.

Magua nie myśląc zmieniać zamiaru dla grymasów szarlatana, po chwili znowu posunął się naprzód; a niedźwiedź stanął słupem i zaczął przedniemi łapami garnąć do siebie powietrze.

— Głupcze! — zawołał zniecierpliwio-

ny Huron, — idź straszyć skwawy i dzieci, a nieprzeszkadzaj zatrudnionym męszczyznom. — Kiedy po tych słowach nie biorąc się ani do tomakawku ani do noża dla zgromienia mniemanego kuglarza, dał krok ku drzwiom, Sokole Oko chwycił go oburącz i ścisnął prawdziwie po niedźwiedziemu.

Hejward baczny na wszystkie poruszenia przebranego towarzysza, posadził czém prędzej Alinę na najbliższej skrzyni, ściągnał długi rzemień, którym jakiś pak był osznurowany, i przyskoczywszy do nieprzyjaciela mocno ściśniętego w ręku strzelca, tak mu skrępował ręce i nogi, że gdy go potém Sokole Oko rzucił na ziemię, musiał leżeć bez ruchu twarzą do góry.

Przez cały ciąg tej równie nagłej, jak nieprzewidzianej walki, Magua opierał się z całej mocy; a lubo od razu poczuł wyższość sił przeciwnika, nie wydał jednak najmniejszego głosu. Dopiero teraz kiedy strzelec chcąc mu objaśnić tajemnicę, na miej-

scu głowy niedźwiedziej ukazał twarz swoję, Huron mimowolnie wykrzyknął z podziwienia.

— Aha, przecież odzyskałeś język; — rzecze najspokojniej Sokole Oko. — Dobrze żeśmy dowiedzieli się o tém: trzebaż jeszcze zrobić jednę malenką ostróżność, żebyś jego na naszą szkodę nie użył.

To rzekłszy zawiązał mu gębę, a gdy już straszliwy Indyanin został pozbawiony wszelkiej możności szkodzenia, obróciwszy się do majora zapytał:

— Jakim sposobem ten łotr dostał się tutaj? Nikt nie przechodził tędy gdzie mię pan zostawiłeś.

Hejward pokazał mu drzwi przez które wszedł dziki, i razem zawady jakie musieliby usuwać, gdyby chcieli wyjść tą drogą.

— Ponieważ nie mamy do wyboru, — rzecze strzelec, — trzeba wychodzić kędyśmy przyszli i śpieszyć do lasu. Ru-

szajmy; weź pan pod ręce i prowadź panienkę.

— Niepodobna! Chociaż wszystko widzi i słyszy, ale przestrach odebrał jej siły; ona nie może utrzymać się na nogach. — Idź mój zacny przyjacielu, ratuj siebie, a nas zostaw zrządzeniom naszego losu.

— Nie masz mdłości któraby nie przeminęła, a każde nieszczęście uczy czegoś. Uwiń ją pan w tę płachtę roboty Huronek. Nie tak; trzeba okryć całą osobę, żeby nic nie było widać. Schowaj pan dobrze te drobne nóżki; oneby nas zdradziły, bo w całych lasach amerykańskich pewno nie masz podobnych. Teraz proszę wziąść ją na ręce; tylko niech ja włożę moję głowę niedźwiedzią. No, idźmy.

Dunkan, jak to można widzieć ze słów jego towarzysza, spiesznie wypełniał dawane sobie rozkazy, i wziąwszy ciężar, który sam przez się niewielki, wydawał mu się bardzo lekkim, poszedł za strzel-

cem. Chora Indyanka ledwo już okazywała znaki życia. Łatwo domyślić się jednak, że dwaj przyjaciele niezatrzymując się przeszli pierwszą grotę jaskini i pośpieszyli do lochu prowadzącego na wolne powietrze. Wiele głosów dających się słyszeć za drzwiami oznajmiło im, że krewni i przyjaciele chorej zebrali się tutaj, aby czém prędzej dowiedzieć się jaki skutek sprawiły czary cudzoziemskiego lekarza.

— Gdybym ja powiedział choć słowo,— szepnął Sokole Oko,— moja angielszczyzna jako rodowita mowa człowieka białego, ostrzegłaby tych łotrów że mają nieprzyjaciela pośrzód siebie. Trzeba więc majorze, żebyś się rozprawił z nimi swoim czarnoxiężkim językiem: powiedz im że zamknąłeś ducha w jaskini i dla uzupełnienia kuracyi chorą wynosiz do lasu. Oszukuj jak możesz najlepiej; w takim razie godzi się oszukiwać.

Drzwi przemknęły się trochę, jak gdyby kto chciał zasłyszeć co się wewnątrz działo, lecz niędźwiedź mruknął straszliwie i znowu zamknięto je śpiesznie. Wkrótce potém Sokole Oko wystąpił naprzód grając wybornie przyjętą na się rolą niezgrabnego źwierza, a Dunkan wyszedłszy tuż za nim, postrzegł się wśrzód kilkunastu osób czekających go niecierpliwie.

Tłum ten rozstąpił się na dwie strony i pozwolił zbliżyć się do Dunkana staremu wodzowi, który prowadził z sobą młodego wojownika, zapewne męża chorej.

— Czy brat mój zwyciężył ducha? — zapytał starzec. — Co tu niesie na ręku?

— Kobiétę, która była chora, odpowiedział Dunkan poważnie. — Wypędziłem z niej chorobę i zamknąłem w jaskini, a teraz ją samą niosę do lasu, żeby dać jej kilka kropel soku z pewnego ziółka, co nie może skutkować inaczej, jak na wolném powietrzu i w miejscu dalekiem od ludzi.

Ten jeden tylko sposób zabezpieczyć może twoję córkę od nowych napaści złego ducha. Przed świtem będzie ona w wigwamie swojego męża.

Stary wódz wytłumaczył dzikim słowa Dunkana powiedziane po francuzku, i gdy szmer przyjazny wyrażał powszechne zadowolnienie, on sam dając znak majorowi żeby szedł swoją drogą, dodał głosem mocnym:

— Idź! ale ja nie jestem babą; wstąpię do jaskini i zagnębię złego ducha.

Hejward już był ruszył się z miejsca, lecz usłyszawszy to straszne zapowiedzenie, wstrzymał się i zawołał:

— Co brat mój powiada! czy stracił rozum? czy chce zgubić sam siebie? Jakże to, nie lęka się, żeby choroba przylgnęła do niego; albo pierwszą swoję zdobycz dognała w lesie? Do mnie to należy ukończywszy leczenie, powrócić tu i zakląć ją na zawsze. Niech bracia moi

strzegą tych drzwi z daleka, i jeżeli się zły duch pod jakimkolwiek bądź kształtem w nich ukaże, niech się starają maczugami go zabić. Ale równie on chytry jak złośliwy; będzie siedział pod skałą, skoro zobaczy, że tylu wojowników uzbrojonych czatuje na niego.

Szczególniejsza ta odezwa sprawiła pożądany skutek. Mężczyzni zarzucili na plecy tomahawki, żeby je mieć w gotowości do bicia złego ducha, kobiety i dzieci zaczęły spiesznie uzbrajać się w kije gałęzie i kamienie, przeciw tej urojonej istocie, której przypisywali cierpienia chorej; a dwaj mniemani czarodzieje znaleźli porę oddalić się spokojnie.

Jakkolwiek zabobonne wyobrażenia Indyan posłużyły teraz szczęśliwie, Sokole Oko wiedząc jednak, że rozsądniejsi wodzowie podzielali je raczej przez pobłażanie niżeli własną wiarę, czuł całą cenę czasu w obecnym razie. Gdy więc naj-

mniejsze podejrzenie w którymkolwiek z dzikich wzbudzone, mogło przyprawić ich o zgubę, wziąwszy się manowcem dalekim od mieszkań, szedł śpiesznie. Dzieci porzuciły już swoje zabawy, i ogniska przez nie rozłożone zaczynały gasnąć; a chociaż przy ostatku dogorewającego światła, dawały się widzieć tu i ówdzie oddalone kupy wojowników, cichość nocy uderzała tém bardziej, że cały wieczor wrzask i hałas rozlegał się po obozie.

Swieżość powietrza wkrótce orzeźwiła Alinę. Skoro weszli do lasu, odezwała się wyrywając się z rąk majora:

— Puść mię Hejwardzie, ja mogę iść sama, już mi zupełnie dobrze.

— Nie, Alino, jeszcze jesteś słaba,—odpowiedział Dunkan starając się ją zatrzymać. Lecz gdy nie przestawała nalegać, musiał pozbydź się miłego ciężaru.

Rycerz niedźwiedzia, niepojmował zapewne, co za roskosz kochankowi trzymać

w objęciach drogą osobę, równie jak nie miał wyobrażenia o tém uczuciu wrodzonego wstydu, którego doświadczała niewinna piękność na ręku młodego mężczyzny unoszona od nieprzyjaciół. Lecz kiedy już byli dosyć daleko od Huronów, zatrzymał się żeby przemówić w materyi lepiej mu znajomej.

— Ścieszka ta,—rzecze,—prowadzi nad brzeg niewielkiego strumyka; idźcie państwo z jego biegiem aż do katarakty, gdzie po prawej ręce na pierwszej górze znajdziecie drugi narod. Trzeba żebyście się tam udali i prosili o schronienie, a jeżeli są to prawdziwi Delawarowie, nie będziecie prosili napróżno. Uchodzić dalej z panienką niepodobna teraz. Huronowie mogliby pójść w ślad za nami i nieodpuściwszy nas na mil dwanaście, poobdzierać nam głowy. Idźcie państwo moi: niech Opatrzność czuwa nad wami!

— A sam? — zapytał Hejward z zadzi-

wieniem,—nie spodziewam się żebyś myślił opuścić nas tutaj.

— Huronowie mają w swym ręku tego, co jest chlubą Delawarów,—odpowiedział strzelec;—a nim zdołają rozlać ostatnię kroplę krwi mohikańskiej, muszę sprobować, czy mi się nie uda wybawić młodego przyjaciela mojego. Gdyby oni obdarli głowę panu, majorze, pewno za każdy włos przypłaciliby jednem życiem; jak już przyrzekłem dawniej; ale gdyby młody Sagamor został przywiązany do słupa, zobaczyliby natenczas jak umie umrzeć człowiek krwi niezmięszanej.

Bez urazy za to widoczne pierwszeństwo, jakie otwarty strzelec zostawił młodzieńcowi, którego prawie za syna uważał, major starał się wszelkiemi sposobami odwieść go od tak azardowego przedsięwzięcia. Alina do prośb Dunkana łącząc swoje, zaklinała także, aby zrzekł się zamiaru, co tyle

niebezpieczeństw a mało skutku obiecywał. Przekładania, prośby, zaklęcia, wszystko było daremne. Strzelec słuchał uważnie, chociaż z niecierpliwością, a potém odpowiedział w taki sposób, że Alina musiała zamilknąć, a mojor poznał, iż wszelkie dalsze dowody na nicby się nie przydały.

—Słyszałem,—rzekł SokoleOko tonem stanowczym,—że jest pewne uczucie, co w młodości silniej łączy mężczyznę z kobiétą, niż ojca z synem. Bydź to może prawda; rzadko widywałem kobiety mojego koloru i nie wiem dobrze jakie tam skłonności rodzą się w osadach ludzi białych. Pan dla uratowania tej panienki poświęciłeś życie, poświęciłeś wszystko co masz najdroższego, i zdaje mi się że podobne przywiązanie było do tego powodem. Ja zaś, wyuczyłem Unkasa używać strzelby jak należy i dobrze mi się odpłacił za to. Ja w wielu

utarczkach walczyłem obok niego, i póki mogłem słyszeć jednem uchem strzał jego, a drugim Sagamora, zawsze byłem pewny że nieprzyjaciel nie zajdzie mi z tyłu. Zimy i lata przepędzaliśmy razem, dzieląc się każdym kęsem, czuwając naprzemian podczas spoczynku. Nie pierwej więc będzie mógł powiedzieć ktokolwiek, że Unkas cierpiał tortury i że .... Tak, jedna Wszechmocność rządzi nami wszystkimi jakiegokolwiek bądź koloru ciała jesteśmy, i tę wzywam na świadectwo, że nie pierwej młody Mohikan zginie dla niedostatku przyjaciela, jak chyba wszelka uczciwość zniknie z ziemi i moja danielówka nie więcej będzie mogła dokazać od dudki śpiewaka.

Dunkan puścił rękę strzelca za którą go przytrzymywał; a ten zawrócił się śpiesznie i wielkim krokiem poszedł ku mieszkaniom Huronów. Zostawieni sami sobie

młodzi zbiegowie przeprowadzali oczyma szlachetnego przyjaciela póki nie znikł w ciemności, a potém według jego rady udali się do obozu Delawarów.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.